

ARKONA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY KULTURZE I SZTUCE

NR 5

BYDGOSZCZ — MARZEC

ROK 1946

Stanisław Helsztyński

BURZĘ POMNIK BRENKENHOFA

Ilekcję przechodziłem w Pile promenadą wzdłuż rzeki Głdy w pobliżu gmachu reencji, doznawałem zawsze zdrożnej chęci: zaciskały się dłonie, oczy szukały jakiegoś ciężkiego narzędzia, w myśli formowało się postanowienie: uderzyć w tę twarz tłustą, nabrzmiałą, butną, wyzierającą z muru okalającego ogród dawnego pruskiego prezesa reencji.

Tworząca ta, to wmurowane popiersie von Brenkenhofs, tego, który w praktyce wykonał plany Fryderyka II, dotyczące zaboru ziem nadnoteckich. Wiedzą Niemcy dobrze, co dla nich ten Ober-Finanz-Kriegs-u. Domainenrat uczynił. Toteż wzdłuż Noteci żyła jego pamięć, utrwalana pomnikami, płaskorzeźbami, nazwami szkół, świetlic i osad.

Franz Balthazar Schönberg von Brenkenhof był prawą ręką króla pruskiego w okresie pierwszego rozbioru Polski i techniczne wykonanie zamysłu króla skrupulatnie przez wiele lat przygotowywał. Razem ze swym panem wziął się szczególnie na dorzecze Noteci. Zasadniczo pierwszy rozbiór przewidywał odstąpienie Niemcom Prus Zachodnich bez Torunia i Udańska. Machinacjom króla i Brenkenhofs przypisać należy, że urwano równocześnie także północną część Wielkopolski, region nadnotecki. Było to możliwe ze względu na doskonałą reżyserię Brenkenhofs, który zagarniając Wisłę, chciał mieć również wody Noteci w swoim posiadaniu. W tym celu nawiązał kontakt ze szlachtą wielkopolską i zyskał wśród nich zwolenników dla króla pruskiego.

Znana jest historia hrabiny Marianny Skórczewskiej z Margonina, która okryła się niesławą przez to, że dopomagała Brenkenhofowi w jego zgubnych dla Polski zamiarach. Sawantka ta, naśladowując ślepo marmarzysty francuski w studiowaniu matematyki, fizyki i literatury, uważała za wielkie wyróżnienie, że bawiąc w Berlinie, była przyjmowana przez króla Fryderyka. Nie barmarząc sobie sprawę, że jest tanim narzędziem w ręku doskonałego gracza.

Król, którego kraj był strasznie wyczerpany przez wojnę siedmioletnią, chętnie wdział, że przyjeżdża z Polski ktoś bardzo bogaty, wystawne życie prowadzący. Żona generała polskiego, hrabiego, dziedzica olbrzymich dóbr w powiatach szubińskim i łabiszyńskim, przybywająca rok rocznie do zbiegłego Berlina, ot niezłe źródło dochodów dla poddanych Fryderyka. To też na każdy jej list znalazła się ujmująca od-

powieź, pełna komplementów i grzecznościowych zwrotów.

Ważniejszą zaś rzeczą jeszcze było to, że w rozmowach swoich z hrabiną sam król, a jeszcze bardziej Brenkenhof wnikał w trudno dla nich zrozumiałe stosunki polityczne panujące w Polsce i orientowali się, jak na nią przygotować cios.

W roku 1768 wybuchła konfederacja barska. Sprawy zaczynały przybierać tak groźny obrót, że dla wtajemniczonych nie ulegała wątpliwości możliwość rozbiorów. Hrabina Skórczewska nie pragnęła niczego goręcej, jak właśnie wcielenia Poznańskiego do Prus. Pracowała też w tym kierunku gorliwie ręką w rękę z Brenkenhofem.

Przeniosła się na teren Prus do miasteczka Drezdenka nad Notecią. Prowadziła tu swego rodzaju salon polityczny, dom otwarty, w którym bywali ludzie odgrywający decydującą rolę w polskim życiu politycznym. Biograf Brenkenhofs sam mówi o tym: „Gromadzenie się wysokiej i zamożnej szlachty na terenie podlegającym zwierzchności pruskiej było korzystne nie tylko dla miasteczka Drezdenka, lecz również dla samego króla... Hr. Skórczewska bowiem miała mnóstwo ważnych kontaktów w Warsza-

wie, — również wszyscy marszałkowie konfederacji zbierali się u niej, zabiegali o jej przyjaźń i wyjawiali jej swoje zamysły. Codziennie można było w jej domu spotkać najwybitniejszych ludzi dzierzących ster spraw w Polsce. Pani ta była najlepszą przyjaciółką naszego Brenkenhofs. Od niej dowiadywał się tajemnic Warszawy. Często także tajemnic Petersburga i zamysłów marszałków konfederacji. O wszystkim tym donosił Brenkenhof swemu królowi. Ten zaś wyszukiwał to jaknajwydatniej w układaniu swoich planów” (A. G. Meissner: Leben von Fr. B. Brenkenhof, Lipsk, 1782).

Zachowanie się magnaterii wielkopolskiej — w tym wypadku hr. Skórczewskiej — doszło do szczytu nieprzyzwoitości w 1772 roku w okresie kiedy akt rozbioru był postanowiony i wykonany. Opisuje to w dalszym ciągu biograf Brenkenhofs: „W roku 1772 zapytywał monarcha w Bydgoszczy o przyległą okolice. A ponieważ Brenkenhof udzielił mu mnóstwa wiadomości otrzymanych dzięki przyjaźni z hr. Skórczewską, król odkrył mu cały swój plan dotyczący zaboru, dał rozkaz zajmowania terenu i przekazał majora von Zobelitz z 200 koniami dla wzięcia w posiadanie Noteci... We wrześniu 1772 dokonano nareszcie zajęcia kraju. Król rozkazał Notec i obydwie jej brzozy, od Rynarzewa ku Solcowi, wcielić do swego kraju. Dla osłony dał mu tylko jednego podchorążego z dwunastu

P O M O R Z E W P L A S T Y C E P O L S K I E J



LEON WYCZÓLKOWSKI

SPOJRZENIE NA „SW. JANA” W TORUNIU

dragonami. Pomimo tak małej ilości ludzi wszystko odbyło się w porządku, bo prawie cała szlachta tych okolic dobrze Brenkenhofs znała. W Szamocinie przybyła nagle niespodzianie w nocy na wózku wieśniaczym jego przyjaciółka, gen. Skórzewska, i błagała go najusilniej, żeby również jej dobra łabiszyńskie włączyć do Prus. Ponieważ w Warszawie dowiedziano się jak życzliwie była wobec Prus nastrojona, więc twierdziła, że dobra jej zostaną skonfiskowane, o ile w Polsce pozostaną. Wprawdzie Rynarzewo, które widniało jako ostateczna linia graniczna Brenkenhofs, należało do hr. Skórzewskiej, ale oddalone było ono jeszcze o dwie mile od Łabiszyna, a więc gros majątku generałowej pozostałoby w Polsce. Brenkenhof włączył zatem dobra łabiszyńskie, barcińskie i Olendry kackowskie do Prus i wytyczył granicę koło Solca“.

Nie znamy liłości dla hrabiny polskiej, która wołała mieć nad sobą króla pruskiego aniżeli polskiego. Żadne wody nie wybieją jej pamięci w naszych oczach.

Ale czić nie będziemy też Brenkenhofs, złego ducha i narzędzie Fryderyka II. Na obrazach, przedstawiających Fryderyka w terenie nadnoteckim, — a chciwy kame-ralista, zaborca i rabuś ziem, ostatnie o-

siem lat życia strawił na radosnym wczuwaniu się w tę zdobycz, na odwiedzaniu jej, zaludnianiu, osuszaniu tego pasa ziemi, — widzimy stale Brenkenhofs. Kiedy ze wzgórza patrzą na wijącą się wstęgę Noteci, kiedy w rozkiszłą, gliniastą glebę sprowadzają kolonistów niemieckich, zawsze obok szczupłej postaci mistrza stoi jego sługa, olbrzymi, majestatyczny, promieniejący butą i pewnością siebie — Brenkenhof.

Takim też był na freskach w budynkach rządowych przy placu Gdańskim, obecnie Staszycy, w Pile. Takim jest w podręcznikach. Takim jest we framudze muru przy ogrodzie prywatnym prezesa rejencji w Pile nad rzeką Gdą. Bieleją żaboty fraka, lśnią białe włosy peruki, dumnie patrzą oczy na ziemię zabraną bezprawnie państwu polskiemu.

Dlatego nie ręczę za siebie. Dlatego, jeśli któregoś dnia nie zobaczycie tej butnej twarzy, a tylko strząskaną maskę, odpryski piaskowca i gipsu, bądźcie pewni, że czynu tego dokonała moja ręka, nie mogąca doczekać się chwili, aż usunięcia tego najeźdźcy i zaborcy dokona powołana oficjalna władza.

Zburzę, naprawdę zburzę pomnik Brenkenhofs.

Stanisław Helsztyński.

Alfred Świerkosz

SŁOWIANIE NA ZIEMIACH DZISIEJSZEJ GERMANII

Wprawdzie znaczenie Niemców jako czynników politycznego w Europie przestało raz na zawsze istnieć, w warunkach jednak niemieckich nigdy nie wiadomo z jakiej strony naddźwięki i kiedy rozszaleje się burza. Możliwość tej burzy istnieje nadal zawsze. Z tego chociażby względu musimy badać pilnie wszystko, co się dzieje za kordonem granicznym u naszego odwiecznego wroga zachodniego. Musimy być przygotowani zawsze na wszelkie niespodzianki, by bezpieczeństwo naszych granic nie było narażone na najniebezpieczniejszy szwank. Nie żywimy zamiarów agresywnych, szanujemy wszystkie postanowienia wielkich mocarstw a naszych wypróbowanych sprzymierzeńców, ale nie jest nam obojętny los milionowej rzeszy Słowian, przewalającej się w morzu niemieckim. Ze zwiększeniem stanu posiadania na Zachodzie, rzeczą naszą jest ustalić jednolitą politykę, by nie cierpiała na tym nasza racja stanu i by uczyniła nas dobrze przygotowanymi do rozwiązania zadań oczekujących nas na Zachodzie.

Politykę naszą musimy kształtować na gruntownej znajomości Germanów, a zacząć od rozwiązania kunsztownego węzła jaki zadzierzgnięty został dokoła sprawy słowiańskiej na obecnych ziemiach przez naukowy świat niemiecki, który kwestię tę rozstrzygnął z dużym zasobem zręczności rozmowowania na korzyść swoją. Głównie zainteresowaną, bo pokrzywdzoną stroną jest szereg słowiański, któremu Niemcy zaprzeczają praw do jakiegokolwiek roli w Germanii. Wywody „uczonych“ niemieckich, jak są zawile, przerozmaite w szczegółach i wprost niezgodne z sobą w niektórych poglądach na sprawę słowiańską, tak zgodnie uważają żywioł słowiański za intruza wschodniego i to niedawnej daty. Kapitałne są te wywody, które „uczenni“ niemieccy usiłują powagą bibliotek całych, w ich duchu pisanych, wzmóc w świat naukowy Europy, — że Słowianie nad Wisłą,

Wartę, Elbę, aż po Ren wpędzeni zostali, niby trzoda bezbronnych owieczek przez napierających z tyłu Awarów; imi objaśniają wtargnięcie Słowian dobrowolnym opuszczeniem przez niemieckie szczepy prastarych siedzib i wyludnieniem obszernych okolic, do których bez przeszkody weszli po pewnym czasie od Wschodu Słowianie, których przybycie datują do jakiegoś 5 lub 6-go wieku po Chrystusie. Polscy archeolodzy i etnologowie wykazywali niejednokrotnie bezzasadność pomysłów niemieckich w kwestii słowiańskiej. Argumentacja uczonych polskich była jednak tak poważna, że niektórzy historycy niemieccy sprzed ery reżimu hitlerowskiego zmuszeni byli bronić się coraz zawilszą i sofistyczną argumentacją. W sprawach tych, które niedawno odpierali lekceważącym, czy pobłażliwym wzruszeniem ramion, ponad wszelką wątpliwość faktem jest, że szereg litewsko-słowiański uległ wyodrębnieniu się z pierwotnie jednolitej całości aryjskiej na jakieś dwa i pół tysiąca lat przed Chrystusem; z niego zaś słowiański wyodrębnił się już przynajmniej na kilka wieków przed erą Chrystusową (Niederle. O Puvodu Slovānu. Praga). Z rozważań lingwistycznych wynika, że Bałtyk nigdy nie był siedzibą szczepu niemieckiego, który dotąd, choć na Bałtyk w swym posiadaniu nazywa go „Morzem Wschodnim“ (Ostsee), co wyraźnie dowodzi, że pierwotna siedziba Germanów leżała bardziej na zachodzie. Uczenni niemieccy za wszelką cenę pragnęli odnaleźć kolebkę niemiecką i doszli do przekonania, że tylko półwysep Jutlandzki może być punktem wyjścia tego ludu. Za kolebką tą walczyli z ważniejszych „uczonych“ niemieckich: Keyser, Münch, Wackernagel, H. Hildebrand. Sprawy te obchodzą nas tylko ubocznie. Faktem jest, że po dzień dzisiejszy toczą się spory o kolebkę Germanów. Powstało cały szereg hipotez, które jedna za drugą upadają. Müllenhof widzi np. kolebkę Germanów na porzeczu

Odry i Elby, inny zaś nad morzem Czarnym. Świat niemiecki odczuwał trudność uzasadnienia podobnych hipotez, ale choć grunt z pod nóg się usuwał, Niemcy nie ustawali w znoju, w wynajdywaniu wciąż nowych argumentów, nie gardząc najbliższymi, a nawet zwodniczymi, by tylko nie porzucić twierdzenia, że zamieszkiwali Europę Środkową przed Słowianami.

Gdy jednak pod naporem krytyki, dowody historyczne i językoznawcze, którymi głównie Niemcy wojowali okazały się niewystarczającymi, chwycili się ostatnimi czasy nowego oręża: antropologii, archeologii, by stoczyć się na doktrynę rasowości. Potworzono więc mnóstwo formułek, typów antropologicznych i archeologicznych, manewrowano tymi danymi, z taką zręcznością, że zakrzyczano, zahukano poprostu rozsądniejsze i trzeźwiejsze umysły niemieckiego świata naukowego. Zapomniało tylko o jednej rzeczy, iż nowa broń jest obosieczna. Niezmiernie szybki postęp archeologii obalał nieugruntowane lub wprost fałszywe hipotezy niemieckie. Przyszło do tego, że kunsztowne gmachy rozsypały się w ruinę. Wzrósł tylko zamęt, a mrzonka jako prawda wypłynęła na powierzchnię życia. Trudno nam tu w ramach artykułu wdawać się w szczegóły i zakamarki archeologii niemieckiej. Wiemy tylko, że niemiecki uczonec dr Rudolf Virchow, którego działalność naukową cechowała się ostrożnością sądów oświadczył areopagowi świata uczonego niemieckiego, że: „przynajmniej na Elbę, a nawet nieco dalej cały kraj był z dawien dawna słowiańskim. Łużyce, późniejsza marchia Brandenburska, Meklemburg, południowo-wschodnia część Holsteinu, Pomorze, Śląsk, Prusy Zachodnie, **wszystko to były niewątpliwie słowiańskie dziedziny**“. W wypowiedzeniach Virchowa jest szereg punktów niezmiernie ciekawych. Niektóre jednak dowodzą, że nawet taka powaga naukowa liczyć się musi z usposobieniem większości. To też Virchow ostrożnie obchodzi drażliwe szkopy i choć powiedział niedużo, wystarczy nam to, bo padło z ust największego znawcy niemieckiego, którego zdań świat uczoney przywykł słuchać jak wyroczni. Virchow jest szczerzy, to też mówi wbrew wszystkim „uczonym“ wywodom swoich ziomek: „nie wiemy, jak długo trwała tak zwana epoka słowiańska. Nie wiemy także jaka była ludność przed-słowiańska i nie mamy prawa nazywać jej germańską, w znaczeniu etnograficznym“. Więcej nam ten uczoney powiedział nie mógł. Wyznanie jego stwierdza tylko nadużycia przez Niemców powagi historii, archeologii i antropologii dla własnych szowinistycznych potrzeb. Dłma jeden wielomówiący przykład: krainę nad dolną Elbą. Według uczonych niemieckich Słowianie wtargnęli w 5, czy 6-tych wieku po Chrystusie na tę „odwieczną niemiecką ziemię“, ale bardzo prędko, bo już po paru wiekach zaczynając od 8-go wieku a kończąc na 12-tych — zostali bezpowrotnie wyrugowani. O zdarzeniach mniej więcej roku 1160-go jeden z najwiarygodniejszych kronikarzy Helmold, tak pisze: „Gdy Bóg hojnie naszych książąt zwycięstwami obdarzył, Słowianie wszędzie byli wypędzeni, a od granicy oceanu sprowadzone zostały ludy silne i niezliczone, które **ziemię Słowian posiadły**, pobudowały miasta i kościoły, i urosły w bogactwo nad wszelką miarę“.

Niemcy odebrali więc od Słowian **ziemię swoją**, lasy, góry, rzeki. Osiem wieków upłynęło jak opanowali, zgnebili „**najeźdźców**“ i zaprowadzili „ponownie“ swoją gospodarke. Działali z żywiołową siłą „**wyższej**“ (tak twierdzą) i mocniejszej cywilizacji. Mimo to w ustach owej wyższej cywilizacyjnie ludności, ba, na mapach dzisiej-

w ciągu wieków na tle prześladowań rasy-
wych odbywał się naturalny proces asymi-
lacji żywiołu podbitego, lecz za to niemiecki
przybysz wchłonał w siebie pierwiastek
słowiański i choć czystych Słowian później
nie wszędzie stało, to jednak duch słowiań-
szczyzny unosi się nad tymi „germańskimi”
krajami. Przede wszystkim żyje w na-
zwach rzek, strumieni, jezior, lasów i gór;
żyje w nazwach wiosek, grodów i trwałszy
jest od murów tych miejscowości. Nie uleciał
z nich, choć przekraczają je od wieków
wrogie usta, brzydzące się nienawistnym
„słowiańskim narzeczem”.

Dużo już tych dowodów i pamiątek za-
tarło się nie do poznania i jedynie z po-
zostawionych dokumentów, zapisków domo-
wych, książeczek do nabożeństw do-
wiadujemy się o dawnym ich brzmieniu.
Wiele nazw znikło bezpowrotnie, zastąpi-
li je Niemcy rozmyślnie nowymi, co do
których mamy dowody, że jeszcze niedaw-
no nazywały się inaczej, bo ich nazwy sło-
wiańskie żyją obok urzędowych; oto kilka
przykładów z tysiąca: Gniewkowo — Ar-
genau, Choczno — Arnswalde, Złotonia —
Goldberg, Wasocz — Herrstadt, Kwi-
dzyń — Marienwerder, Wałcz — Deutsche
Krone. Inne nazwy natomiast pomimo ska-
żenia noszą niezatarte piętno pochodzenia
słowiańskiego np. nazwy najstarszych osad
słowiańskich w Brandenburgii: Boleszkowice
— Boleskowitz, Danowice — Denne-
witz, Lubowice — Lobitz, Wałowice —
Walwitz, Witanie — Wietnitz.

Wszystkie te nazwy to najbardziej żywe
świadki dawnego stanu rzeczy na całej
przestrzeni od Wisły dolnej aż poza Elbę.

Sam zaś fakt przetrwania nazw słowiań-
skich w mowie niemieckiej, wskazuje na
niewątpliwy pewnik, że ziemie te przed
wiekami były słowiańskie. Ślady bowiem
i cechy słowiańskie kraju nie dały się ze-
trzeć, ale stanowią żywy dowód kłamliwo-
ści niemieckiej. Nazwy wsi, miast, miaste-
czek, a w wielu wypadkach rzek i gór
świadczą, że po Elbę mieszkali Słowianie
nie 5 ale 10 wieków. Taka rzeka Trawa
(Trave), czy Rzeknica (Recknitz) nie mia-
łyby pierwiastku słowiańskiego, gdyby za-
borcy Słowianie zjawili się w 5-tym czy
7-mym wieku. Nosiłaby przecież nazwę
germańską nadaną wcześniej tej rzece. Na
mocy jednak prawa natury przez blisko
1000 lat Niemcy wymawiają nazwę słowiań-
ską jednej i drugiej rzeki, i to niezrozumia-
łej nazwy Trawa i Rzeknica. Lud więc,
który tak potężne pozostawił po sobie pa-
miątki, nie był na ziemi niemieckiej ani in-
truzem, ani gościem, ale **odwiecznym i pra-
wym jej panem**. On pierwszy ponazywał
rzeki, góry, lasy, wsie i grody; przed nim
Niemców tu nie było. Oto widzimy jak je-
zykoznawstwo prostuje manowce nauki
niemieckiej.

Tragiczna walka o ziemie te wlecze się
już wieki całe. „Drang nach Osten” jest
zawsze żywy. Mieliśmy tego zresztą nana-
calne dowody. Rozrodzony lud germański,

pomimo że został rozgromiony i zbiera za-
służone cieżki w postaci okupacji, nadal pa-
trzy tak samo chciwie na wschód i połud-
nie, jak patrzył lat temu półtora tysiąca.
I tak samo wytrwale stać będzie przy pra-
starym hasle „Drang nach Osten”, które
nie utraciło swej żywotności.

Zachodzi pytanie, co nas zgubiło, że
z ziem tych daliśmy się wyprzeć? Mówią
o tym stare kroniki. Byliśmy ludem szcze-
rym, brzydiliśmy się zdradą, podstępem
i fałszem, mniej okrutni byliśmy w walce.
Do zgody ufnie podawaliśmy dłoń, prakty-
kując zasadę „Gość w domu, Bóg w domu”.
Gościnności tej zawdzięczamy wiele nie-
szczęść. Drużyny najeźdźców niemieckich
niczym się nie różniły przed wiekami
od dzisiejszych, cechowało ich okrucień-
stwo, bezwzględność i dobra organizacja
wojenna. Nie trudno im było podbijając lud
naogół bezbronny i wyzyskiwać jego pra-
cę dla potrzeb własnych. W takich warun-
kach zdobywca szybko wzrastał w bogac-
two, natomiast ujarzmieni w coraz gorszą
niedolę.

Germania wcisnęła się klinem w samo
serce Europy, rozrosła się, a mimo to świat
słowiański, choć długo lekceważony, choć
wytopiony na zachodnim krańcu, wyszedł
z krwawej kąpieli obecnej wojny mocniej-
szy, a mowa słowiańska rozbrzmiewa sze-
rzej aniżeli kiedykolwiek.

Alfred Świerkosz



„PIĘKNA MADONNA” TORUŃSKA

Z odnowionym pojęciem Pomorza
w znaczeniu geograficzno-historycznym, a
więc obejmującym Pomorze zaodrzańskie,
odrzańskie, wiślano-gdańskie jak również
obszar b. Prus Wschodnich, polska historia
sztuki wkracza w nowe dziedziny badań
rozszerzając bardzo poważnie nie tylko ich
zasięg, a tym samym materiał zabytkowy,
lecz także ich kierunkowe linie.

Dotychczasowy stan naszych naukowych
zainteresowań ograniczony był bowiem pra-
wie wyłącznie pojęciem Pomorza w znacze-
niu administracyjnym t. j. t. zw. wojewódz-
twa pomorskiego, co oczywiście ze stano-
wiska geografii artystycznej zabytków nie
mógł oddać pełnego obrazu zjawisk wystę-
pujących na całym terenie bałtycko-pomor-
skim.

Jerzy Remer

ZABYTKOZNAWCZE ZAGADNIENIA POMORZA

I. UWAGI WSTĘPNE

Tymczasem nauka niemiecka przeprowa-
dziła, począwszy od końca ub. wieku, in-
wentaryzację zabytków obejmującą t. zw.
prowincje wschodnich i zachodnich Prus
i częściowo Pomorza, czyli niemal w cało-
ści ziemie należące w różnych czasach do
Polski lub z nią w ten czy inny sposób hi-
storycznie związane. Są to znane wydawni-
ctwa jak A. Böttchera „Die Bau- und
Kunstdenkmäler der Provinz Ostpreussen
(Tom I—XX, Królewiec 1891—99), J. Heise-
go i B. Schmidta: „Die Bau- und Kunstdenk-
mäler der Provinz Westpreussen (Tom I—IX
Gdańsk 1884—96, tom XII—XIV
Gdańsk 1906—19) i „Die Bau- und Kunst-
denkmäler der Provinz Pommern“ (od 1889
odnoszącej się w 1-jej części do Szczecina).
Ponadto Georg Delio w „Handbuch der deut-
schen Kunst-denkmäler“ w tomie II-gim pt.
„Norddeutschland“ (3 wyd. Berlin 1926),
cierpiąc przeważnie materiał z powyżej
wymienionych publikacji, dał dość wyczer-
pujący katalog zabytków (głównie architek-
tonicznych) całego obszaru, włączając do
niego (w 1926!) powiaty należące wówczas
do województwa pomorskiego. Dzięki tym
inwentarzom pokuszono się o konstrukcje
ogólniejsze, jakimi są np. A. Ulbricha „Kunst-
geschichte Ostpreussen der Ordenszeit bis
zur Gegenwart“ (Królewiec 1932) albo K.
Clasena „Die mittelalterliche Kunst im Ge-
biete des Deutschordensstaates Preussen“
(Królewiec 1927).

Nauce polskiej natomiast nie udało
się, w okresie dwudziestolecia przedwo-
jennego, dokonać podstawowego dzieła
to jest inwentaryzacji zabytków nawet
na terenie administracyjno-aktualnego wo-
jewództwa, co odbiło się niekorzystnie m.
in. na próbach syntetycznych opracowań
sztuki na Pomorzu i jej dziejów. Nie obni-
żając bowiem wartości tego rodzaju prac

jak popularno-informacyjna książka Bole-
sława Makowskiego p. t. „Sztuka na Pomo-
rzu” (Toruń 1932, wyd. Instytutu Bałtyc-
kiego), albo precyzyjne w ścisłości studium
Guida Chmarzyńskiego p. t. „Sztuka Po-
morska” (Warszawa 1937, w pierwszym to-
mie nowego „Słownika Geograficznego Pań-
stwa Polskiego” i osob. w odbicie) nastę-
pnie ogólnych uwag o sztuce pomorskiej za-
mieszczonych w rozdziałach o „Sztuce Pol-
skiej” w wyd. „Wiedza o Polsce” w opra-
cowaniu M. Walickiego (architektura), Ks.
S. Dettloffa (rzeźba) i St. Zahorskiej (ma-
larstwo) oraz w M. Walickiego i Starzyń-
skiego „Dziejach sztuki polskiej” (Warsza-
wa 1936) i wreszcie w numerze pomorskim
„Biuletynu historii, sztuki i kultury” (War-
szawa 1933) w cennych przyczynkach W.
Kieszkowskiego i J. Zachwatowicza, M.
Walickiego, G. Chmarzyńskiego, T. Dobro-
wolskiego, Ks. S. Dettloffa, J. Eckhardtówny
i J. Starzyńskiego, a ujmujących wyniki ba-
dań terenowych z objazdu województwa
pomorskiego, — musimy stwierdzić, że nie
stworzyliśmy właśnie z braku własnego in-
wentarza zabytków opartego na habanitach
autopsyjno-terenowych (posługując się w
najlepszym razie inwentaryzacją niemiecką,
częściowo już przestarzałą lub tendencyjną),
całokształtu obrazu dziejów tej sztuki, któ-
rej pewne fragmenty tylko (z okresu krzy-
żackiego) budziły w kołach fachowych naj-
większe zainteresowanie z uwagi na dość
wyraźne odrębności kształtowania.

Przywołac na pamięć na razie naj-
ogólniej powyższe dane, nie wyczerpujące
także t. zw. literatury przedmiotu, wykazu-
jącej niepomiernie więcej zarówno niemie-
ckich jak i polskich opracowań (zwłaszcza
monograficznych), chciałbym czytelnika in-
teresującego się naszym przedmiotem już
od początku tych uwag uświadomić co do

trudności w podejściu i realizacji tak pożądanego wydawnictwa jakim byłoby syntetyczne opracowanie dziejów sztuki na Pomorzu (zawsze w pojęciu rozszerzonym) i włączenia ich do historii sztuki polskiej.

Niewątpliwie zasadniczym postulatem, prowadzącym do urzeczywistnienia wspomnianego wydawnictwa, będzie, tak jak we wszystkich tego rodzaju pracach, jak najwyższe przeprowadzenie inwentaryzacji zabytków nieruchomych i ruchomych, opartej na antopsychnych opisach, zdjęciach pomiarowych i fotograficznych, na całym obszarze Pomorza. Ta fundamentalna praca terenowa wymagać będzie jednak większego grona wykwalifikowanych pracowników inwentaryzatorów (historyków sztuki, architektów i fotografów), którzy rozporządzając odpowiednimi środkami materialnymi (przede wszystkim lokomocyjnymi) powinni, pod kierownictwem konserwatorów poszczególnych województw, według ustalonych zasad inwentaryzacji naukowej, nad którą czuwa i którą prowadzi już zorganizowana Centrala w Ministerstwie Kultury i Sztuki, jak najrychlej sporządzić pierwszy polski katalog zabytków omawianego terenu, o ile możliwości kompletny, t. j. obejmujący wszystkie rodzaje zabytków ze szczególnym uwzględnieniem zniszczonych, leżących w ruinach, z których nie wszystkie (lub nie przedko) zostaną odbudowane (np. w Grudziądzu).

Z uwagi na doniosłość tego pierwszego postulatu zabytkoznawczego, nie mając powiedzmy otwarcie i bez ogródek, potrzebnego dla wykonania tegoż, liczniejszego grona pracowników, którzy mogliby lub chcieliby (pomimo odpowiedniego wynagrodzenia) poświęcić się ofiarnie tej pracy z pełną odpowiedzialnością naukową, należałoby, moim zdaniem, wyszkolić na odpowiednich kursach specjalistów-inwentaryzatorów, przede wszystkim młodszych architektów-pomiarowców i fotografów, gdyż ich praca dokumentarna (w zdjęciach) dałaby nieodzowny materiał faktycznego zasobu zabytków, słowem pierwszy, wstępny niejako, katalog ilustrujący „stan posiadania”, co jest niemalże ważne również ze stanowiska bieżącej ochrony zabytków i ich konserwacji.

Zdając sobie sprawę z analogicznych postulatów, występujących również na innych terenach Polski i częściowo tam realizowanych (czego dowodem są pierwsze zeszyty drukowanego inwentarza topograficznego kilku powiatów) musimy sprawę inwentaryzacji zabytków Pomorza postawić na czoło tych przedsięwzięć, które nie mogą czekać t. zw. lepszych czasów w hierarchii potrzeb w dziedzinie opieki państwa nad kulturą i sztuką i ich upowszechnieniem. Sprawa ta ma bowiem nie tylko oblicze ściśle naukowe (i w tym praktycznie konserwatorskie), lecz także społeczne, a to wobec małego uświadomienia ogółu co do wartości i znaczenia zabytków sztuki naszego terenu i przeświadczenia, dość rozpowszechnionego, że niemal wszystkie zabytki (zwłaszcza architektury średnowiecznej) pochodzą tutaj z obcej inwencji bez wkładu ze strony polskiej twórczości artystycznej. O tych poglądach zaszczerpieniu głównie przez niemiecką naukę, zwłaszcza propagandystyczno-hitlerowską w ostatnich latach przedwojennych i okupacyjnych, będzie mowa w dalszym ciągu niniejszych rozważań. W tej chwili chodzi nam o podkreślenie wagi i aktualności omawianej sprawy inwentaryzacji, którą należy włączyć corychle (choćby ze względu na zniszczenie zabytków) do państwowej gospodarki, zainteresowanej w zachowaniu dóbr kulturalnych i zarazem materialnych, do których zabytki bezspornie należą.

Ludwik Hieronim Morstin

ZIEMIA RODZINNA AUTORA „SAMOSEKÓW”

Adam Grzymała-Siedlecki urodził się we wsi Wierzbno w Ziemi Proszowskiej i tam spędził dzieciństwo. Fakt ten nie został bez wpływu na psychikę tego znakomitego pisarza, odbił się na sposobie odczuwania i opisywania polskiego krajobrazu, — zaciążył na psychologii szeregu stworzonych przez niego postaci scenicznych i powieściowych, krótko mówiąc: jeżeli kiedy, to w tym wypadku należy powtórzyć nieśmiertelne „Wer den Dichter will verstehen, muss im Dichters Lande gehen”. I dlatego zapraszam wielbicieli talentu Siedleckiego na wędrowkę po jego kraju rodzinnym.

Całe Proszowskie położone jest nad rzeką Szreniawą, a już Brückner każe pisać: Szreniawą, od słowa szrecz. Czym jest ten „szrecz” wiedzą i dziś młynarze nadszreniawscy, gdy mówią, że mleć nie można, bo idzie szrecz, to znaczy drobne kawałki lodu niesione falą rzeki, zanim lód stanie. Wtedy stają młyńskie turbiny mimo ochronnej kraty.

Rzeka Szreniawa wypływa pod Miechowem a wpada do Wisły pod Koszycami. Jest mulna jak Tyber i żółta jak Tyber. Pływie w gęstwinie olszyn wśród łąk, które spadają w lekkich skłonach... od jej brzegów — do pól urodzajnych. Dziwny to kraj, opowiadał mi raz jeden inżynier, gdzie rzeki płyną pagórkami. Tajemnicą tego zjawiska są częste wylewy Szreniawy. Jej muł osadza się u brzegów i sprawia, że łąki mają wyższy poziom przy samej rzece, niż dalej od niej. — O tym muł pisał już Długosz, że był on ceniony na równi z ziemią świętą i że jego beczki były w tej cenie sprzedawane. Widocznie wywożono go do innych, mniej urodzajnych dzielnic Polski. — Łąki nadszreniawskie znane są z bujnego porostu traw. Ich potraw tyle wart, co gdzie indziej pierwszy zbiór siana i nadaje się szczególnie do chowu koni. Na łąkach stągiewskich, nad Szreniawą rozciągniętych wychowywał się ten ogier wybrany z tysiąca, który poniósł w bój Jagiełłę pod Grunwald.

Od wsi Szreniawy roztacza się widok na miasteczko Proszowice znane z sejmików. Z Proszowic wyjeżdżał Zygmunt Stary na koronację do Krakowa. Wyjechał o godzinie piątej rano a na ósmą był w stolicy. Musiały być wtedy drogi dobre, skoro jechał tylko trzy godziny, a w sławnym błocie proszowskim nie ugrzęzła ciężka królewska kolasa. Niech by się tak wybrał tą drogą w listopadzie, musiałby dużo wcześniej wstać, by zdążyć na obrząd koronacyjny! W Proszowicach zatrzymał się Zygmunt August, wiozący ciało ukochanej Barbary do Wilna. — Stąd podziemnym korytarzem, który do dziś dnia pono egzystuje, tylko wejście ma zasypane, — przemknął się do Piekar Samuel Zborowski ścigany przez ludzi Zamoyskiego.

Nad Proszowicami wznosi się najwyższy z pagórków ziemi proszowskiej, jej Mount Everest, jak go ktoś nazwał żartobliwie, dumny szczyt Koniuszy. Koniusza znana w literaturze z „Wiesława” Brodzińskiego, w legendzie z opowieści o tym koniu, co swojemu panu aż z Arabii stado całe przyprowadził, w historii z postoju Kościuszki, który tędy szedł na Raclawice.

Idąc dalej biegiem Szreniawy dochodzi się do Kościelca, gdzie na jednym ze wzgórz stoi cud architektury, kościół romański z XIII wieku. — Jak mówią uczeni: najlepiej zachowany pomnik stylu romańskiego z tej

strony Alp w swoim wnętrzu, mimo, że portal ma zepsuty późniejszą przeróbką. Ma on dwie nawy, jedna nad drugą, a nawet wyższą podtrzymującą kolumnie rzeźbione w kamieniu, każda w innej wzory.

Jeszcze parę wsi dalej idąc wzdłuż rzeki, dochodzi się do Książki, gdzie w ołtarzu rozbłyskuje złotem i barwami tryptyk Wita Stwosza, mariackiego tryptyku mniejszy i uboższy krewny.

Jest więc ta ziemia proszowska nabrała tradycjami najświetniejszej polskiej historii. To kolebka wielkiej, wspaniałej naszej kultury. A jest też krajobrazowo niezrównanie piękna. Urodzajność czarnoziemu sprawia, że w epoce kwitnienia i dojrzewania wszystkie jej miedze i wawozy są jak grzędy kwiatów, powietrze pachnie od ziół, pola złocą się od kłosów pszenicznego ziarna. Jest rzeczywiście stołem suto zastawionym na ucztę ludzi i bogów. Pagórki wznoszące się nad doliną Szreniawy mają łagodne linie konturów. Słońce ubiera je w kolory pastelowe, delikatne, przezroczyste. Jest nad nimi w pogodny dzień błękitne zadumanie, mieniące się tęczami. Coś, co przypomina szklaną Umbrię, — ziemię świętego Franciszka.

Lud ziemi proszowskiej jest ludem, który ma wdzięk swojej macierzy. Dzięki urodzajności gleby nie znał on nigdy nędzy, jest więc pełen humoru i fantazji. Szedł pod Raclawice z Kościuszką, a ostatnio w tak zwanym „Powstaniu Kaźmierskim”, gdy roku 1944 w lecie udało się na miesiąc wyrzucić Niemców z ziemi proszowskiej i długo przed oswojeniem Polski ogłosić ten kraj wolnym przez parę tygodni, bataliony chłopskie odznaczyły się odwagą i patriotyzmem, zebrały w swych szeregach prawie całą młodzież chłopską ziemi nadszreniawskiej.

Twórczość Adama Grzymały-Siedleckiego ma dla mnie ten wdzięk polskości, który ma jego ziemia rodzinna. W galerii typów przez niego stworzonych odnajduję żywych ludzi tam mieszkających we dworach i chatkach. W jego opisach przyrody to igrzysko mgieł kolorowych, gdy słońce zachodzące sypie złote iskry na górę Koniuszę. Radość i pogoda przenikające świat jego twórczości, — to odpryski tego humoru, który mają ludzie ziemi proszowskiej, upici miodem dobrobytu najurodzajniejszej gleby polskiej. Dla mnie Adam Grzymała-Siedlecki jako człowiek i jako pisarz, to uroczy syn uroczej matki.

Włóczyłem się z nim nieraz krakowskim wózkiem od wsi do wsi po okropnych drogach ziemi naszej, powożąc parą koni przyzwyczajonych do omijania dziur, rzeczywiście nieprawdopodobnej wielkości. Drogi proszowskie nawet w czasie pokoju wyglądały tak, jakby były zbombardowane pociskami armat największego kalibru. Mając uwagę skupioną na wybojach, nie mogąc rozmawiać, ukazywaliśmy sobie tylko oczami piękności krajobrazu, który roztaczał się przed nami. Wiedząc o sobie, że jednak go odczuwamy.

W dniu jego jubileuszu, gdy inni będą oceniać całokształt twórczości Siedleckiego, ja posyłam mu pozdrowienie od ściślejszej naszej ojczyzny, od której ja dziś tak jak on, oderwany i daleki, sercem na zawsze, — jak i on do śmierci złączony.

..... Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie. —“

ADAM GRZYMAŁA - SIEDLECKI W PIĘCDZIESIĘCIOLECIE TWÓRCZOŚCI



MARIAN TURWID
STUDIUM DO PORTRETU ADAMA GRZYMAŁY-SIEDLECKIEGO

Dnia 20 i 21 lutego b. r. stała Bydgoszcz pod znakiem uroczystości jubileuszowych ku czci Adama Grzymały - Siedleckiego. Autor „Samoseków“ mieszka i tworzy w stolicy Pomorza od r. 1922-go, wyjąwszy kilkuletnią przerwę, spowodowaną okupacją. Bydgoszczanie już przed wojną uważali go za swego. Obecnie, gdy straszny kataklizm dziejowy przerzedził szeregi twórców starszego pokolenia, uświadomiono sobie w większym stopniu niż poprzednio fakt posiadania w swoim gronie sędziwego autora, reprezentującego mimo lat 70-ciu wielki potencjał literatury i publicystyki. Estyma Bydgoszczy dla Siedleckiego nie wywodzi się z regionalnego oblicza jubilat. Chociaż jedna z powieści Grzymały, mianowicie „Miechowiec i Syn“ ma topograficzne tło miasta nad Brdą, to przecież trudnoby było doszukać się w beletrystycznych lub dramatycznych pracach Siedleckiego jakichś pierwiastków pomorskich. Grzymała-Siedlecki, syn ziemi proszowskiej, zasięgiem swojej twórczości obejmuje całą Polskę, aczkolwiek ideologicznie i psychicznie grawitował zawsze ku ziemiom zachodnim, deklarując się już przed wojną jako zwolennik antyniemieckiego kursu i wzmocnienia bastionów kulturalnych ziem b. zaboru pruskiego.

Twórczość Grzymały - Siedleckiego jest bardzo różnorodna i ogarnia wielkim lukiem wszelkie możliwe odmiany pracy literackiej, poczynając na utworach dramatycznych aż do dziennikarstwa. Teatr i literatura, beletrystyka i krytyka teatralna, publicystyka i krytyka literacka idą u niego równoległe, mniej lub więcej o siebie się zająbiając. Autor „Spadkobiercy“ i „Wyspiańskiego“ jest ponad to nie tylko znawcą teatru i autorem sztuk dramatycznych, lecz ma w dziejach naszej sceny także piękną kartę jako praktyk teatru — jako długoletni dyrektor i kierownik literacki najprzedniejszych scen polskich. Twórczość komediopisarską poprzedziła u Grzymały - Siedleckiego praca sternika teatrów krakowskich i warszawskich, pozwalając mu zgłębić wszelkie tajniki kulis, praw i prawideł sceny. Grzymała - Siedlecki był w

r. 1905 dyrektorem Teatru Ludowego w Krakowie, w latach 1906 — 1911 kierownikiem literackim w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie (za dyrekcji Solskiego), w r. 1913 kierownikiem literackim Teatru Rozmaitości w Warszawie, w latach 1916 — 1918 wreszcie dyrektorem Teatrów Miejskich w Krakowie. Duże są zasługi Siedleckiego zwłaszcza na ostatniej placówce. W bardzo ciężkim okresie wojennym, borykając się z trudnościami personalnymi i finansowymi, utrzymał repertuar reprezentacyjnych scen polskich na wysokim poziomie artystycznym.

W roku 1922 zdobywał b. dyrektor teatru rozgłos „Sublokatorką“, która obiega bodaj wszystkie polskie sceny. Spośród innych sztuk Siedleckiego szczególnie sukcesem cieszyły się komedie „Popas Króla Jegomości“ (1922), „Spadkobierca“ (1925—sceniczna przeróbka powieści „Samoseki“), „Maman do wzięcia“ (1930). Komedie Siedleckiego nie stanowią żadnych rewelacji ani co do problematyki ani co do techniki. Nie mniej spełniły pewną rolę na tle ubóstwa naszego repertuaru, który obfitując w arcydzieła poezji, grzeszy brakiem sztuk na codzień. Naszemu widzowi jest poza tym Siedlecki bliski jako bystry obserwator rodzinnego środowiska, naświetlanego z dużą dozą dobrotliwej ironii. Po ostatniej wojnie napisał Grzymała-Siedlecki kilka utworów scenicznych. Prapremiera „Ludzie są ludźmi“ odbyła się z okazji 50-letniego jubileuszu literackiego w Bydgoszczy. W komedii tej, rozgrywającej się na tle przedwojennej Warszawy, znać zadumę nad sensem życia i znikomością szczęścia osobistego. Duże walory sceniczne zdaje się posiadać również, sądząc po transmisji radiowej, niegrana dotychczas sztuka „Wesele pani Dubarry“.

W orbicie teatru znajduje się duża część publicystycznej działalności Grzymały-Siedleckiego. Pierwsze kroki stawiał on jako literat właśnie na tym terenie. Henryk Perzyński, ojciec znanego później autora komedii i powieści, Włodzimierz Perzyńskiego, redaktor i wydawca „Dziennika dla Wszystkich“, powierza w r. 1897, w zastępstwie chorego stałego recenzenta, Siedleckiemu napisanie sprawozdania z sztuki „Marcin Łuba“ Sewera i Micińskiego. Tego rodzaju sporadyczne „zastępstwa“ zamieniły się z czasem w coraz bardziej ciągłą, pogłębianą studiami i doświadczeniem pracę nad życiem repertuaru. Jako recenzent cieszy się Siedlecki wielką poczytnością i wielkim autorytetem w latach przedwojennych. Od roku 1925 do wybuchu wojny prowadzi dział krytyki teatralnej w „Kurierze Warszawskim“ i może uchodzić za najkompetentniejszego wyraziela sądów o sztukach obok Boy'a-Zeleńskiego, Irzykowskiego i Noskowskiego.

O teatr zająbia również krytyka literacka jubilat. W roku 1909 ukazuje się i wydanie studium Grzymały-Siedleckiego pod

tytuł. „Wyspiański — cechy i elementy jego twórczości“. Praca ta, wydrukowana w dwa lata po śmierci autora „Wesela“, stanowi do dziś dnia ważny etap jako pierwsza ekspedycja w głąb mało znanego ładu poezji. O Wyspiańskim powiedział Grzymała jako pierwszy rzeczy konkretne, nie zaciemniał tematu piękno — gadulstwem i naświetlał szlaki geniuszu analizą zasadniczych składników twórczych autora „Akropolis“. Dla autokrytycznej postawy Grzymały-Siedleckiego znamieną jest, przedmowa autora do II wydania studium o Wyspiańskim. Autor ocenia krytycznie własną metodę, własny styl i inne niedociągnięcia swojej pracy. To, co tu Grzymała-Siedlecki napisał na temat ideologii narodowej Wyspiańskiego, na temat szlachetczyzny, polskiej choroby romantycznej, na temat chłopca polskiego, nabiera szczególnej aktualności dziś i godne jest przeczytania nie tylko ze względów czysto literackich. Poza tym pisze Grzymała-Siedlecki o twórczości Reymonta, Dygasińskiego, Zapolskiej, Krasińskiego i wielu innych, swoich i obcych autorów. Szczególnie wnikliwie analizuje Fredrę. Dla wczucia się doskonalszego w klimat duchowy autora „Ślubów Panieńskich“, zwiędza systematycznie wszystkie miejsca, związane w jakikolwiek sposób z życiem i twórczością wielkiego komediopisarza. Zważywszy pokrewność organizacji psychicznej Fredry i jego krytyka, ubolewać należy, że studia Siedleckiego w tej materii nie ukazały się dotychczas w formie książkowej.

Obok krytyki literackiej uprawia Grzymała-Siedlecki jeszcze inne działy publicystyki. Jest felietonistą najpierwszej klasy. Można nie godzić się czasami na poglądy Siedleckiego, ale czyta się jego felietony zawsze z najwyższym zainteresowaniem. Czytelnika essay'ów Siedleckiego przykuwa ciekawy sposób podejścia do tematu, duża doza zaprawy anegdotalnej, błyski dowcipu i wreszcie barwny, zamaszysty a przecież precyzyjny styl. Jak wszystko, co pisze, przenika także felietony b. redaktora „Museionu“, „Rzeczypośpolitej“ i „Tygodnika Ilustrowanego“ nurt polskiej rodzimości, łatwej do wyczucia, trudnej do zdefiniowania. W miarę lat felietony Siedleckiego stają się jeszcze ciekawsze, bo obok erudycji i wspomnianych wyżej walorów rośnie skarbnica osobistych wspomnień, reminiscencji i paralel. Autor książki o Wyspiańskim należy np. obecnie do tych melicznych, którzy o okresie schyłku polityki i o początkach modernizmu referować mogą w charakterze świadka koronnego. To samo dotyczy oczywista spraw pozaliterackich, zjawisk obyczajowych, osobistości politycznych itd. Ponieważ Grzymała-Siedlecki zachował przeźność umysłu, umie wyzyskać swój olbrzymi materiał anegdotalno-pamiętnikarski w najaktualniejszych essay'ach z swoistym wdziękiem.

Gdy autor studium o Wyspiańskim w r. 1922 ogłosił zbiór nowel i fraszek pod tytułem „Galeria moich bliźnich“, mogło się niejednemu krytykowi zdawać, że Siedlecki stanie się większą pozycją naszej beletrystyki. Dał zbiór opowiadań o szerokiej skali nastrojowej, opowiadań, w których obok rzewnych typów napoleończyków i emigrantów, obok światka szlacheckich rezydentów i dziwaków jawi się plastycznie zarysowany drobniomieszczanski ludek

warszawski. Komizm niektórych rozdziałów „Galerii moich bliźnich” jeszcze dziś zachował świeżość, żeby tylko wspomnieć opowiadanie pod tyt. „Wieczory Koziegłowskie”. Beletrystyka nie należy jednakowoż do pierwszoplanowych zainteresowań Grzymały-Siedleckiego. Jak autor „Samoseków” i „Miechowca i Syna” wyznaje, służy mu powieści do uzupełnienia myśli, które zostały niedostatecznie wyrażone w poprzedzających powieści koncepcjach dramatycznych.

Jubilat wyda niebawem dwa tomy o charakterze pamiętnikarskim: „111 dni letargu — wspomnienia z Pawiaka” oraz „Wdeptani w ziemię — rzecz o pisarzach zmarłych w ostatniej wojnie”. O ile ogłoszone już urywki tych pamiętników na to pozwalają, można śmiało mówić o nowym sukcesie Grzymały w jeszcze jednej dziedzinie publicystyki.

Nerw teatralny udziela się jubilatowi nawet wtedy, gdy pisze wspomnienia. Umie wydobyć z opisu rzeczy zwykłych w czasach okupacji, jak np. łapanka i aresztowanie, frapujące czytelnika momenty, umie po mistrzowsku wydatnić dramatyczność sytuacji i skomentować je w sposób nieoczekiwany.

Pamiętniki Grzymały-Siedleckiego nie są wspominkami starego człowieka, mimo że ich autor ma już siódmy krzyżyk na karku. Grzymała-Siedlecki, komediopisarz, dyrektor teatru, publicysta, krytyk literacki i beletrysta debiutuje w jeszcze jednym „genre”. Kto wie, zważywszy umysłową ruchliwość autora „111 dni”, czy debiut dotyczy już ostatniej dziedziny. Może wielostronność wypowiedzania się twórczego wzbogaci się u Siedleckiego o jeszcze jeden rodzaj?

wśród ludzi, jaką dla wrażliwców staje się otoczenie obcych — i cicho rozżałościł się: „Boże! Gdybym teraz, tak chory, przebywał w domu, koło mnie siedziałyby żona, nie opuszczały by mnie dzieci...” — przytknął powieki, by zasłonić przed nimi łzy. — Tak! Biada tym uwiezionym, którym w domu było za dobrze! — Noce całe trawił na rozpamiętywaniu możliwości obozu koncentracyjnego. Nieraz go można było w mroku nocy dostrzec odbiegłego od snu, siedzącego na łóżku z dera na głowie, by tłumia jego głośny płacz.

Nadmiarem wyobraźni wyjaśniają niektórzy skłonność do rozterek duchowych. Warto może przytoczyć dialog, jaki się w naszej celi rozegrał między „desperatem” a pewnym pogodnym grubasem. Ten ostatni zarzucił jęczącej mięczakowatość nerwów.

— Nie cierpisz nad swoją przyszłością — odparował mu melancholik: — bo nie masz wyobraźni.

— Mam nie mniejszą od twojej. Tylko moja wyobraźnia podsuwa mi dobre nadzieje, a twoja tobie tragedie.

Obaj powędrowali potem do Oświęcimia. Schizotypik wyczerpany uprzednimi zgrzytotami, grubas w znośnej kondycji duchowej.

Adam Grzymała-Siedlecki

CELA Nr 263

Fragment z pamiętnika: „Stojedenaście dni letargu”*)

Carrel w „Człowieku, istocie nieznannej” pisząc, ile to razy stwierdził dobroczynne modlitwy skutki w przeróżnych chorobach, nadmieniał, że gdy chory modli się nie za siebie, lecz za innych, doznaje tym skuteczniejszej pomocy w swoich dolegliwościach. Więc niejako mistyczne, a w gruncie rzeczy psychologicznie wytłumaczalne błogosławieństwo **bezinteresowności**. — W swoich ciężkich doznaniach więziennych, w swoim letargu starałem się dosłownie iść za radą genialnego biologa; zasadę bezinteresowności stosowałem też do tematów swej myśli. Nie zawiodłem się. Rozmyślania o rzeczach poza osobistych odsuwały z mózgu dręczącą troskę o swój los. Spostrzegłem to — i już wiedziałem co mam czynić: w zaduchu ciasnych przestrzeni, we wrogich murach, w niedojedzeniu, w chłódach i udrękach przymuszałem się **myśleć**, niustannie, bez przerwy myśleć o wszystkim co ludzkie, byle nie o sobie. Ratować się — i to nie odkładając, zanim robak depresji nie zacznie podgryzać sił obronnych woli.

A jeżeli już bies egocentryzmu pociągnie cię ku sobie, to snuj plany na przyszłość, układaj tematy przyszłych prac, wbijaj w pamięć materiał do przyszłego pamiętnika więziennego! Aby tylko nie dać się rozpieścić świadomości, że nie ma ważnej sprawy poza tym, żeś na Pawiaku, — nie dać się rozpanoszyć prawdzie, że każdej chwili możesz wyjechać do Oświęcimia czy Majdanka, a nawet do lasów Chojnowskich, czy na Palmiry. Oczywiście, że wymaga to ciągłej czujności. Ciągłej walki z podpełzającą szkaradą: **lękem**. Ale że to walka nie beznadziejna i zwycięstwo możliwe, o tym przekonałem się na wielu moich towarzyszach. Najznamienniejszą obserwację przeprowadziłem na t. zw. „małym Nowakowskim”.

W tej mojej celi Nr 263 starostą został p. Nowakowski, pomorzanie wyrzucony z domu już bodaj w listopadzie 1939 r. W Warszawie znalazł zajęcie w jakimś urzędzie aprowizacyjnym. Aresztowano go w dwa dni po nas — i aresztowano z dwoma synami. Jeden mógł mieć lat 19, — drugi, ów właśnie „mały Nowakowski” nie więcej chyba jak 17. Stał się ulubieńcem całej naszej załogi nie tylko dlatego, że najmłodszy z nas, ale i za swoją uprzejmość, uczynność, doskonale wychowanie i wdzięk. Trzymał się doskonale, bez wybu-

chowej wesołości, która bywa złą na przyszłość zapowiedzią; pogodny, aktywny. Tak było aż do pewnej chwili, — do chwili, kiedy z domu, od pani Nowakowskiej przyszła pierwsza paczka z żywnością. Adres ręką matki wypisany, widomy znak, więcej, cząstka jestestwa rodzinnego, za którym chłopczyna nie mógł nie tęsknić, wszystko razem złożyło się na to, że nie mógł wytrzymać — i załkał. Oczy napelniły się łzami, zawstydzony uciekł w kąt — i stamtąd już rozlecił się jego serdeczny szloch. P. Nowakowski, do podziwu tkliwy ojciec, pośpieszył za nim, starał się utulić, próbował pocieszać go nadesłanymi łakociami, syn chrupał posłusznie, a łzy moczyły matczyne ciastka. — Tak się rzecz przedstawiała w pierwszej chwili, ale już po godzinie młodzian zebrał się w kupę; w oczach jego niemal że się czytało postanowienie: „nie powtórzy się już ze mną podobna słabość” — i osiągnął skutek: nabrał hartu na stałe. Dał sobie ze sobą radę, bo ostro wziął się do siebie **zaraz**, po pierwszych objawach groźby. Nie odłożył walki na później, kiedy już bywa **zapóźno**...

Z obserwacji moich zauważyłem, że w więzieniu najlepiej się trzymali uczeni, myśliciele, profesorowie, księża. Z księży ci, po których było znać, że do stanu duchownego wstąpili z najwyższych powołań. Można by nawet powiedzieć, że dramat uwiecznienia stawał się niejako odczynnikiem, po którym się u księży poznawało stopień ich powołania. Z „prawem omyłki” oczywiście.

Z rubryki załamań nerwowych zanotować mogę historię, która we mnie najserdeczniejsze do dziś współczucie budzi. Niejaki R. Zaczny, kochany towarzysz niedoli, tkliwa natura, hojny dla potrzebujących, z sercem dla wszystkich. Zaniedbał się, dał się opanować lękom — i dwa razy przeżył okropności losu: raz, gdy go istotnie przewieziono do Majdanka, a przed tym, w ciągłych przecuciach, przewidywaniach i chorobliwych o tym rozmyśleniach. Wały i psychicznie subtelny — obijał się na Pawiaku, żywy kontrast z twardą rzeczywistością tutejszą. Cierpiał niewypowiedzianie. Za rodziną tęsknił niustannie. — Na wiele rzeczy tam, w tym instytucie okropności zobojeźniałem, ale pamiętam: ścisnęło mi się serce, gdy któregoś dnia R. zaziębiony musiał się położyć do łóżka; trawiła go gorączka, nie nazbyt wysoka, ale wystarczająca, by nużyć jego słaby organizm; w pewnej chwili rozleżał się po tej pustce

Najsmutniejszą w więzieniu wypracowywa sobie przyszłość psychiczną, kto z punktu „sjada na huśtawkę”, kto od huczynego humoru zaraz potem zdolny jest przejść do łez, do rozpacz — i z powrotem. Takiemu rozhuśtanu nerwów uległ art. dram. Tadeusz Frenkiel:

Pierwszą noc przeżył normalnie: zatroskany, przeważnie milczący, ale jeszcze nie zrozpaczony. Już nazajutrz naszło nań załamanie: naprężaniem to sypał przeżabawnymi anegdotami i zabawiał dowcipem, to znów głośny, nie dający się powstrzymać płacz: „co się stanie z moją matką i moją żoną!” I tak to trwało do końca. Jakież to jednak znamienne dla natury, stworzonej do beztrostki; gdy tylko miał w nim paroksyzm desperacji, natychmiast wracały wszystkie obdarowania wewnętrzne: bystrość inteligencji, dar naracji, zdolność aktorska, zadziwiająca pamięć. Rektor Drewnowski, który do połowy grudnia siedział z nim we wspólnej celi, opowiadał mi później, jak wspólnie z mecenasem Jeziorskim Frenkiel stawał się istnym dobrodziejstwem dla całego grona: obaj oni, fantastyczną obdarzeni pamięcią, uprzyjemniali ciężkie pawiaczkie wieczory recytowaniem na poły dosłownym rozmaitych arcydzieł beletrystycznych — i książek naukowych.

Pawiak nieraz bywał pokazem podobnych arcypanięci. W celi nr 192 na VI oddziale, w roku 1942, mecenas Święcicki recytował kolegom z pamięci **Trylogię**. — A propos **Trylogii**: w końcowych latach XIX w. na tymże Pawiaku odsiadywał areszt śledczy Feliks Dzierżyński, późniejszy filar pierwszych lat sowieckiego ustroju w Rosji. Słynął w swojej celi jako zaprzysięgły entuzjasta Sienkiewicza. Dłuższe ustepy z „Potopu” umiał bez zmiany słowa.

Okna naszej celi wychodzą na południe. Gdy się trafi dzień bezchmurny, tak rzadki zresztą w listopadzie, przez okienka pod powalą umieszczono sączy się trochę słońca, — ciepłej nam wtedy. Jako zwróceniu ku południowi, tym samym patrzymy (w wyobraźni) na ulicę Dzielną, skąd wjazd na Pawiak. Pod naszymi oknami w nocy zajeżdżają automobile z nowoaresztowanymi. Do północy u nas jaki taki spokój, potem rozpoczyna się ruch. Zdarza się, że co kwadrans i do świtu — raz po raz budzi nas szmer opon po bruku podwórza, — pod kancelarię. Przywieźli! Spać nie sposób. Te

*) Patrz 3 i 4-ty numer „Arkony”.

przywożenia wytrącają ją z równowagi. Wyobrażamy sobie ich, przechodzących to wszystko, cośmy przechodzili, — wszystko co się wewnątrz nas w tych pierwszych godzinach gotowało, a nade wszystko owo jakieś mętne uczucie, które bezskutecznie staramy się odcyfrować, znaleźć mu nazwę, wymykające się analizie, a które jest prosto **utrata** wolności.

Poczucie utraty wolności... Świadomość niejednego z uwięzionych jakby odkłada sobie na później rozeznanie się w tym fakcie, na razie mózg **nie** chce o tym wiedzieć. Czy nie dlatego, że za dużo to bolesne, że wydaje się sprawą nie do zniesienia? Co do mnie, to uświadomienie — i to przeobrażenie jasne — nastąpiło zaraz po pierwszym zamknięciu się za mną drzwi. Drzwi więzienne muszą być warowne, poobijane bywają grubą blachą, więc ciężkie; zamknięciu ich towarzyszy zawsze głuchy łoskot, jakby na teatralny efekt obliczony, a że zamek w drzwiach mocarny, więc operacja kluczem wywołuje ostry zgrzyt. Ten zardzewiały zgrzyt, jak i przed tym twarde zatrzasknięcie się drzwi, przechodzą po wszystkich nerwach i przyspieszają uświadomienie sobie niewoli.

Uświadomienie nieomal fizycznie dotkliwe. Co się na tę dotkliwość składa? Utrata swobody ruchów, niemoc opuszczenia miejsca? To samo uczuwa i paralityk. Ale paralityk wie, że ostatecznie mogą go przemieścić, czy przewieźć dokąd chce, albo dokąd to możliwe. Więzień tych możliwości przed sobą nie ma. Kto nie przeżył więzienia ten nie zda sobie sprawy, do jakiego **stopnia** niewola ogarnia cały ustrój nerwowy, przeinacza sposób myślenia. Jestem pewien, że kto **przyzwyczaił** się do zamknięcia więziennego, ten doznał równocześnie jakiegoś defektu psychicznego. W warunkach zamknięcia dochodzi się dopiero do zrozumienia, jak **podstawowym**, niemal biologicznym warunkiem istnienia jest swoboda. Na Pawiaku odczułem dopiero w całej pełni, jaką mądrością wypełniła się owa „wodna“ nowela Dygasińskiego (tytułu nie pamiętam), gdzie mamy niejako hymn na cześć **wolności** dzikiego ptactwa.

Po utracie wolności i zamknięciu, następną hierarchicznie dolegliwością jest... zabranie zegarka. Konfiskata ta następuje już przy wstępnych czynnościach formalnych w kancelarii więziennej. Jakie gusło policyjne za tym się czai, nie wiadomo. Kiedyś tłumaczono mi, że więzień nie może mieć przy sobie nic wartościowego, by nie mógł przekupywać straży, czy nadzoru więziennego. Bzdura! Bez zegarków i bez gotówki przekupywanie cerberów w domach karnych kwitnie pod każdą szerokością geograficzną, bo wynagrodzenie za wyswydanczoną więźniowi usługę otrzymuje się po za więzieniem. O tym wie każde dziecko (dziecko strażnika więziennego mam tu na myśli). Po za tym, więźniom należy odbierać zegarki, by nie ułatwić ucieczek; tok rozumowania brzmi następująco: chcąc kogoś wykraść z zamknięcia, trzeba z nim ustalić **czas**, — kto nie ma zegarka, ten czasu ustalać nie może. No i właśnie w okresie mojego uwięzienia, przydarzyło się na Pawiaku kilka wyjątkowo zuchwałych ucieczek; — bez zegarka się obeszło. Gusła zawsze jednak są trwalsze od logiki, więc zasada utrzymywania więźnia poza kategorią czasu trwa z żelazną konsekwencją. Pamiętam np. taki wypadek:

Przebywałem w szpitalu; któregoś dnia, tuż przed wieczornym apelem, zapragnąłem jeszcze zejść do ambulatoriów, co za dnia — dopóki jeszcze nie ma apelu — dozwolone. Kiedy już byłem na korytarzu, uprzytomniłem sobie, że pora już późna, czyli że mogę się spóźnić na apel, co by mi groziło grubymi nieprzyjemnościami. Mogę

czy nie mogę? W tej niepewności spostrzegam, że we wnęce korytarzowej siedzi dozorca-ukrainiec i czyta książkę. — „Panie wachmistrzu, która teraz godzina?“ — Iwan Piotrowicz wyjął zegarek, popatrzył, już-już miał mi odpowiedzieć, gdy naraz spojrział na mnie podejrzliwie: „a na co ci wiedzieć, która godzina?“ Poinformowałem go. — „Zdądziesz jeszcze na apel, pedź do ambulatorium“, — a która godzina, tego nie zdradził.

Wydawałoby się: zamkniętemu na cztery spusty, nie obarczonemu żadnym terminem, najzupełniej powinno być obojętne, która teraz godzina. Do licha, niech sobie będzie choćby i dwudziesta piąta! — Otóż wprost przeciwnie: od rana do nocnego zaśnięcia sprawa pory dnia staje się jednym z najżywniejszych zagadnień. — Co chwila skądś dolatuje zapytanie: „która też teraz może być godzina?“ W braku ścisłych ustaleń trwają na ten temat perpetualne dociekania, wyrachowywania, nawet spory. Gdy ktoś z celi uda się do lekarza, powrotu jego oczekuje się z napiętą niecierpliwością, bo w pokoju lekarza wisi zegar. Zdarzyło się, że do pewnej celi wrócił ktoś z ambulatorium, zapomniawszy u lekarza spojrzeć na zegar, — na cały czas pobytu wyrobił sobie reputację kretyna. W sprawie czasu dwa tylko są momenty orientacyjne: ranny dzwonek na wstawanie i wieczorny na finał dnia. Po za idealne pole niewiedzy — i to doprowadza do zbiorowych manii. Izby, oknami zwrócone na południe wyrabiają w lokatorach zmysł domorościej astronomii: gdy słońce oświetli daną płytę cynkową na dachu danej kamienicy na ulicy Dzielnej, to znaczy, że mamy tę a tę godzinę. Więźniowie „z twarzą na ulicę Pawia“ rozporządzają li tylko domysłem. W tych celach można dostać bzika — z rozpraw o „która też może być teraz godzina?“.

Irytuje sytuacja przebywania poza czasem, nęka utrata swobody ruchów, — nie mniej nęczy bezczynność. Niema tak patentowanego leniucha, który po kilku tygodniach nie wyłył z pawiackiego próżniactwa. Bezczynność nie tylko w zakresie jakiegokolwiek **roboty**, ale i owocnych **przeżyć**. „Zawieszenie w czynnościach wewnętrznych“ — takby to dyscyplinarną terminologią dało się określić. Zabijamy czas sprzątaniami, zamiataniami, porządkowaniem, praniem, suszeniem, cerowaniem, łataniami — i nic z tego nie zapełnia pustki. Nie zapełnia, bo nie dzieje się nic **odżywczo** ani w nas, ani wokół nas. Brakuje nam **witamin psychicznych**.

Potrzeba **odbierania wrażeń**, gratis dostępna a przeto niedoceniana na wolności, tu wybucha objawami na swój sposób zniekształconymi. Powstaną np. okazy gapiów, którzy godzinami mogą tkwić w okienku i **spostreżać**, co się dzieje na „szerszym świecie“, tj. na podwórzu więziennym. Patrzenie przez okno wymaga akrobatyki, bo trzeba się wspinać pod sufit; przemagają tę trudność; patrzenie przez okno to narażanie się na niebezpieczeństwo, bo wartownik, po podwórzu cyrkulujący ma prawo strzelić w głowę tkwiącą w okienku, prawo a nawet nakaz: — nie odstrasza to. Tkwią, policzkiem przyklepieni do ściany przyokiennej, by ująć wzroku wartownika, jedno oko skierowane na zewnątrz mały zaledwie wycinek dziedzińca może objąć: — nie zniechęca to. — „Przyjechał samochód z Alei Szucha“, zawiadamia celę. Nikogo to nie elektryzuje, bo o tej porze codzień z Alei Szucha przybywa samochód, ale dla maniaków jednakowo to ważne codzień. — „Doktor poszedł na kobiece oddziały“. — W warsztatach ktoś otworzył okno“. — „Jakiś obcy pies przybiegł do kucharza“. — Taką mamy skalę

kroniki, którą nam podaje pasjonowany ryzykant. Z punktu obserwacyjnego spędza go dopiero wizyta wachmana, posiłki i noc. I maniom tym oddają się nie tylko jednostki bezmyślne. Każda natura aktywna, a jeszcze bardziej żądna wrażeń, — bez względu na gradus inteligencji, może dojść do podobnej deformacji zainteresowań.

Nie wien, czy wspominać, bo za dużo to aksjomatyczne: udreka z powodu zakazu palenia papierosów.

Porozumiejmy się:

Po przez funkcyjnych, wartę, kuchnię, warsztaty etc. zawsze można było wyzłazić (z przepłaceniem) trochę „paliwa“. Ale nigdy w takiej ilości, która by zaspakajala nałóg palacza. Kto zdołał wydestać skądś dwa „junaki“ dziennie, ten już uchodził za majstra. Gwałtowne zahamowane narkotyzowanie się wywołuje fatalne skutki. Przykre pod względem nerwowym, a nie zaszczytne też nieraz w dziedzinie moralnej. Zaczyna się od takich słabości, jak oddawanie swoich racji dziennych chleba za... jednego papierosa (ze świadomością późniejszego głodowania!), prowadzi do takich przywacji, jak podejmowanie się najobrzydliwszych dla powonienia i rąk czynności sanitarnych, byle by tylko za to otrzymać garsteczkę tytoniu, — dochodzi się wreszcie do pogranicza niebezpieczeństw. Niebezpieczeństw dla sumienia i honoru. Bywały podobno na przesłuchach w Gestapo wypadki, że zgłodniały nikoty-ny osobnik „sypał“ za tyton.

Wypalanie zdobytego papierosa staje się obrzędem, uroczystością. Wyrabia się swobody sztuki emienia arcywobolnego, delekcyjnego, z misternym obracaniem dymu w jamie ustnej raz i drugi i dziesiąty. Rzadko kiedy na jednego amatora przypada cały papieros. Organizują się więc bractwa, z dwóch, trzech palaczy złożone: szerszy zasięg zdobywania! Nabytego „dulca“ palą potem, kolejno go sobie podając. Widziałem w W. C. taką spółkę inicjatywno-konsumcyjną, na którą się składali: profesor uniwersytetu, czeladnik kominiarski, inżynier i złodziej kieszonkowy.

Wybiegam już znacznie naprzód poza dno spędzone na oddziale kwarantannowym. Tutaj pod opiekuńczymi (a lubiącymi zarobić) skrzydłami naszego kapo, p. Rittnera, za dobre pieniądze, które jego kuzyni rodzina uwięzionego wyplacała, można było mieć nawet egipskie. Pod tym względem — raje. Natomiast pod innymi względami! Przede wszystkim ten ciągły od północy ruch samochodowy, o którym już wspominałem. Oczywiście, że nie sam ten mechaniczny ruch, lecz to, co się w fakcie kryje, świadomością tego, co to **znaczy** — staje się rzeczą nie do zniesienia. Ponieważ samochody idą po powierzchni, powyżej naszego w suterynach pomieszczenia, więc chwilami się wydaje, że idą po naszych czaszkach, a nawet wskroś przez mózg. Budzimy się, jeśliśmy w ogóle przed tym zasnęli i „długie nocne rodaków rozmowy“.

Naraz zgrzyt klucza w naszych drzwiach. Poniewoli drgnęliśmy, bo co można wiedzieć? Drzwi się otwierają — i z całych sił kopnięty wpada na nasz pokój twarzą na ziemię przewrócony dyrektor Grosser. Dźwigamy go: poturbowany, pokrwawiony, z podbitym okiem. Nasze zdziwienie! Zostawiliśmy go przecie w celi Nr 258, w której i ja przez pierwsze dwa dni przebywałem, — skąd więc naraz zjawia się tutaj? W takich okolicznościach, z takimi bolesnymi „dodatkami systemu“? O tej porze? Jest już chyba het po północy.

Więc tak:

Owej nocy, „naszej nocy“, tj. nocy z 10 na 11 listopada 1942 r. pracowite Gestapo nawiedziło też wyższego urzędnika ministerstwa komunikacji, p. Jana Dybowskię. W mieszkaniu zastało nie tylko gospo-

darza, ale i nocującego gościa, którego legitymacja opiewała na nazwisko, powiedzmy, Stanisława Kowalskiego. Do gościa tego nie mieli żadnych pretensji, ale z poczucia skrętności zabrali go razem z p. Dybowskim na Pawiak.

Tutaj to — jakim sposobem? — w opisywanej tu nocy ujawniło się, że rzekomym Kowalskim (przypuścimy: Kowalskim) jest Antoni Grosser, prezes dyrekcji kolei warszawskich, oddawna przez Gestapo poszukiwany. Azyl u kolegi Dybowskiego wydawał mu się jednym z bezpieczniejszych ze względu na to, że właśnie dyr. Dybowskiego władze okupacyjne uczyniły rodzajem swego męża zaufania w dziedzinie majątku kolejowego na terenie „Generalnej Gubernii” *). I właśnie to p. Grossera zgubiło.

Pamiętam, że na jakąś godzinę przed tym bestialskim wrzuceniem go do nas — wzdłuż korytarza nerwowo biegł jakiś wyjec i ochryplym nieprzytomnym głosem opętańczo ryczał: „wo ist Anton Ghossah?!“ Poszukiwanie miało tak huraganowy impet, że od razu zrozumieliśmy: w katowni musiało stać się coś wyjątkowo ważnego, związanego z osobą p. Grossera. Najprawdopodobniej wówczas to odkryto, kim jest „Kowalski”.

W oczach Gestapo — czy mylnie? — musiał uchodzić za jedną z niebezpieczniejszych figur Polski podziemnej, skoro dochodzeń nie odłożono do dnia następnego, lecz po swojemu, więc nieludzko rozprawiono się z nim „sofort”.

Podnieśliśmy go obolałego, niemal nieruchomego:

— Przesłuchanie — wyszeptał bladymi ustami i nawet się zdobył na uśmiech.

Od bicia gumowymi pałkami po głowie ogłuchł dotkliwie.

Innego dnia w podobny sposób wrzucono do naszej celi kilku jegomościów, pochwyconych na rulecie w prywatnym domu gry.

*) Te same złudzenia zgubiły i samego p. Dybowskiego, bo lekkomyślnie upewniony o pokryciu jakie mu daje jego stanowisko, zbyt nieostrożnie pracował dla konspiracji polskiej.

Przestępstwo polityczne, bo prywatna ruleta sabotuje ruletę założoną w Warszawie przez p. generalnego gubernatora, a której dochody wspomagają Skarb Rzeszy... Niełitościwie potraktowano zwłaszcza młodego człowieka w zatłuszczonym smokingu, managera owej spelunki: batogiem walił go po głowie wachmann, a ukraińiec akompaniował. Ofiara sprawiedliwości pawiakowej padła na podłogę, jak zmierzwiony strzyp. — Nazajutrz wszedobylski kapo Rittner wyjaśnił nam, że walono go „dla przykładu”. Bo pędzony do celi przystawał, opierał się rękami o ścianę, a gdy ruszył nogą to ięczał, — co niedozwolone. A ięczał i nie mógł iść, bo miał kulę w mięśniach nogi. Gestapowcy postrzelili go przy najściu na lokal. „Strzelali, bo myśleli, że my mamy rewolwery — i możemy do nich strzelać”. Strzelali na wszelki wypadek. Profilaktycznie.

Sprawa miała finał nieoczekiwany:

Nazajutrz okazało się, że ów potajemny dom gry utrzymywała Nienka, przybyła z Berlina po złote runo do Warszawy, a poraniony młody człowiek, to prawowierny Volksdeutscher. Pierwszym postanowieniem komendantury było zapewnić rodakowi jakieś lepsze pomieszczenie. Prysłano po niego nosze i sanitariuszów, a ten sam J.E. Wachmann, który go wczoraj łomotał batogiem po fizjognomii, podtrzymywał czule jego cenne ciało. Tak z ceremonią go z naszej celi wyniesiono.

Ktoś przytoczył z tego powodu następującą przypowieść:

— Pan A. spoliczkował pana B. Pan B. posłał mu sekundantów. — „Bić się nie będę” — oświadczył im p. A.: — ale mogę odwołać spoliczkowanie.

Wachmann VIII-go oddziału też starał się odwołać wczorajsze krwawe mordobicie.

Ale czy Ekscelencja mógł przypuścić, że to nie Polak? A skoro Polak — to bić. Za co? Za to właśnie, że Polak.

Ohydna, po stokroć ohydna dziura ta nasza cela Nr 263! W takim jakimś miejscu usytuowana, że właśnie pod naszymi drzwiami wszelkie swoje egzekucje odbywa

zarówno Sander jak i Bürkel, gdy jako vice-komendanci zakładu przychodzą na inspekcje.

Gdy się im otwiera drzwi, zanim starosta huknie swoje idiotyczne: „Aaaachtung!!!” — cała „zawartość” musi czym prędzej ustawić się w ordynek, wszyscy po wojskowemu wypreżeni, jeden za drugim w dwóch szeregach, w prostej pod włos linii. Minimalne obrażenie tych dogmatycznych zasad koszarowych pociąga za sobą karę. Kara spotyka nie tylko winowajcę, ale i **wszystkich** w celi. Wyprowadzeni na korytarz — przez kwadrans, przez pół godziny, zależnie nie tyle od stopnia przewiniecia ile od humoru Sander czy Bürkla, muszą odbywać ćwiczenia karne. Ciężką, uciążliwą gimnastykę. Bywały wypadki, że starzy o chorym sercu mdleli na miejscu. — Katy więzienne z upodobaniem wizytują oddziały kwarantannowe, gdzie niewzyczerzani w kretyniczny rygor nowicjusze tym łatwiej zasłużą na ćwiczenia karne. — Przykucnięci do swych leży w celi nasłuchujemy histerycznych wrzasków, które mają być komendą. Czasem jeszcze głośniejszy krzyk albo świst bata: zachęta do raźniejszej gimnastyki, do radośniejszego tempa. Słyszymy — i czekamy, kiedy kolej przyjdzie na nas. — I naraz przeraźliwy jęk: ktoś katują do żywego mięsa...

Naprzemian z karami zbiorowymi — tortury indywidualne. Za takie czy inne wykroczenie porządkowe taka a taka porcja batów. Po przez drzwi, po przez narzucone na głowę pałta i derki — dochodzi uszu naszych głuche uderzenie pałką gumową: raz-dwa, raz-dwa, rytmiczna młocka w ludzkie ciało. Za każdym uderzeniem bolesny jęk, z uderzenia na uderzenie coraz przewlekleszy, zrazu przez ambicję starannie tłumiony, potem już głośniejszy, — po jakimś dwudziestym rozpaczliwe: „O Jezu!!!”, a siepacz bije a bije, bez pośpiechu, starannie, dokładnie, lege artis. A my słuchać musimy — bo dokąd uciec? — i tylko jeden drugiego rozpytuujemy się wzrokiem:

— Czy to się kiedy skończy?

Adam Grzymała-Siedlecki

Adam Tatomir

OJCZYZNA

Tam, gdzie mleczno-gwiazdzista rozszerza się rzeka
nikłym światłem prześwieca mgławica daleka:
świat jakiś z własnym życiem, dla nas zawsze niemy,
chyba, że myślą bystrą do niego dotrzemy.

Patrzę w gwiazdy, w rozbiegłe pośród nich przestrzenie,
zapominam o czasie i życia nie cenię,
wieczność ziemską za jedną przelotną mam chwilę,
zgubioną wraz z człowiekiem w nad-wieczności pyle...

A jednak serce trudno oderwać od ciebie
pożarów łuną ziemio świecąca na niebie
i zięjąca odbłaskiem czerwonym krwi bratniej —
jakże zerwać ten z życiem mój węzeł ostatni!

Bo jeśli jakaś wieczność jest ziemską na ziemi,
płynię ona ojczyzno drogami twoimi
i mnie, atom, z wszechświatów wydmuchuje pyłu,
abym się stał przez ciebie wielkością i siłą...

Patrzę w gwiazdy, z urokiem wieczności się łamię,
lecz pod jej już ucichać nie mogę skrzydłami,
bo się w wieczność przedzierać tą ziemską mielizną
można tylko wraz z tobą — wraz z tobą, ojczyzno

Leszek Goliński

WIERZBA

NAD CHOPINEM

Zofii Deskur

Wierzbo, szumiąca śpiewnie nad głową Chopina,
przyptnij do nas napowrót, wyrośnij w Alejach;
Niech za dotknięciem różdżki, słowem czarodzieja
Wróć dni, które przeszły, czas, którego nie ma...

Już armat nie potrzeba i burza nie wróci,
Tylko kwiatom zakwitnąć na milczących strunach!
Wierzbo, złamana czołgiem, zgorzała w piorunach,
Czemu liść Twój już opadł i głos Twój już ucichł!

Niech po latach bezsennych, po królestwie ciszy
Białe dłonie na niemej znowu klawiaturze,
Niech śpiewają obłoki i modlą się róże —
Boże! Wskrześ zmarłe serca, uskrzydłaj klawisze!

Noce dzwonią muzyczne, gwiazdy drżą kołędą,
Na wrakach czarnych czołgów mech rośnie zielony;
Nachyl ku swoim ustom ciche nieboskłony
I śpiewaj, wierzbo, lata, które znowu będą...

PROMIENIŚCI

Fragment drugiego aktu sztuki, której prapremiera odbyła się niedawno w Teatrze Ziemi Pomorskiej w Toruniu

Osoby: Maria Puttkamerowa, Tomasz Zan, Edward Odyniec, Karolina Kowalska.

Wilno w zimie 1822. Ma się pod wieczór, między godziną czwartą a piątą. W pokoju fortepian, kominek, biurko niewielkie zarzucone papierami, fotele, kanapa. Na oknach śnieg...

Maria i Edward przy filiżance szokolady.

EDWARD: Pani mąż zawsze dobrem publicznym zajęty?

MARIA: Ogromnie lubi te interesa...

EDWARD: A pani się nader zazdrośnie na wsi zamyka.

MARIA: Owszem! Teraz na czas jakiś do miasta.

EDWARD: Może się spotkamy na balach w kasynie?

MARIA: Na balach? chyba nie... (patrzy na zegar).

EDWARD: Myślałem, że choć o jednego walca będę miał zaszczyt poprosić. Proszę mi wierzyć — jestem niepocieszony!

MARIA: (weselej) Mówiono mi, że za panem Edwardem wszystkie piękne panny przepadają, prędko się znajdzie pociecha.

EDWARD: Przysięgam, że nie przesada! Przeciwnie, to ja wciąż wdycham daremnie. Proszę się spytać Tomasza, Adama...

MARIA: (drgnęła) Często pan widuje pana Adama?

EDWARD: Nie tak często, jakbym pragnął, muszę nawet powiedzieć z żalem, że bardzo rzadko.

MARIA: Chociaż on teraz, Kōwno porzuciwszy, w Wilnie mieszka?

EDWARD: Cóż z tego, kiedy się dziwaczy, w domu zamyka, a gdy do niego przyjaciele przemocą wtargną — to z marsem na czole pośród nas siedzi i nic nie gada.

MARIA: Może co pisze, może go dręczą jakieś pomysły nowe?

EDWARD: Coś niedobrego dzieje się z Adamem. Tomasz o tym w ogóle mówić nie chce. Czerniał, zimierział, boimy się, czy nie chory.

MARIA: Widziałam go tego lata. Wydawał mi się wcale inny. Spokojny, opanowany jak nigdy. Mówił, że ogłosił wreszcie prenumeratę na swoje pisma.

EDWARD: Ja nie wiem co się z nim działo tego lata. Jesienią przyjechał tutaj już nieprzytomny. Przeszłego roku kilkakrotnie bawiłem u niego w Kownie. Był wprawdzie smutny — po stracie matki, — ale przecież nieraz bawiliśmy się wesoło. Pani daruje, że mówię o tym tak wiele, ale ja ubóstwiam Adama. I proszę nic nie wspominać o naszej rozmowie Tomaszowi, bo nam o tym mówić zabronił.

MARIA: A może to — wyjazd z Kowna tak odmienił pana Adama? Skoro się tam tak wesoło bawił? I jakże tam było w tym Kownie? U państwa Kowalskich panowie często bywali?

EDWARD: (zmieszany) Nie bardzo!

MARIA: Słyszałam, że ona bardzo piękna — jak — — ta świętżianka z ballady, która młodzieńca wabiła w toń zdradliwą.

EDWARD: (ożywiając się) A propos... Czy pani zna moje ballady?

MARIA: Wstępuje pan w ślady Adama?

EDWARD: Może kiedyś mógłbym przeczytać?

MARIA: I owszem, — a czy nie wie pan, kiedy się ukaże jego tom pierwszy?

EDWARD: Chyba niedługo, już się zaczął drukować u Zawadzkiego.

MARIA: Mam wielką przyjemność znać niejedną balladę i romans pana Adama. Podziwiam się i oryginalność poezji w nich zawartej.

EDWARD: My wszyscy podziwiamy. Ciekaw byłbym nad wyraz pani zdania o nich...

MARIA: Podobno kobiety trochę powstają na Twardowską. Ale na ogół już pół Wilna bawi się balladami. Cóż to będzie, kiedy cały tom wyjdzie.

EDWARD: Czy mi się zdaje, czy to głos Tomasza słychać w antyszambrze?

MARIA: (przeżrana) Ktoś przyszedł? Nie, to niemożliwe, jeszcze zawczasie, piątej niema.

SŁUŻĄCY: Proszę jaśnie pani — przyszedł pan Tomasz Zan.

MARIA: (wstaje — widocznie zaskoczona) Prosić!

TOMASZ: (wchodzi szybko — wzburzony) Pani! Proszę mi wybaczyć, że przychodzę bez zapowiedzi - - - ach! Edward! Cóż ty tu robisz pustaku! Nie będzie cię dzisiaj znów na wykładzie Lelewela? (do Marii) Musiałem z panią pomówić koniecznie. (obracając się tak, aby Edward nie mógł usłyszeć) Bez świadków — w cztery oczy.

MARIA: Ależ panie Tomasz! Może umówimy się jutro? Może o tej samej porze — o piątej? Laurenty będzie w domu, będzie nam służyć radą.

TOMASZ: Ach tak! Jutro pan Laurenty będzie w domu. Wiem o tym.

EDWARD: Jeżeli ja dzisiaj przeszkadzam - - - bo może Tomasz ma pani powierzyć jakieś sekreta... (Zrywa się).

MARIA: (Wstrzymuje go ruchem ręki). Nie mamy sekretów — prawda panie Tomaszu — ? (mdlejącym głosem). Niestety, tak mnie głowa boli. Dzisiaj nie mogę słuchać żadnych sekretów.

EDWARD: Migrena?

MARIA: Muszę iść położyć się, a że nie wypada w łóżu wizyt przyjmować, więc proszę mi wybaczyć drogi panie.

EDWARD: Kobiety istoty czarujące, ależ wafle motylki. Czy ja nie znudziłem przypadkiem moją paplaniną.

MARIA: Mówiłam już, że pan jest bardzo miły, panie Edwardzie. Będę naprawdę bardzo rada, jeżeli nas pan odwiedzi. póki jeszcze będziemy w mieście. I do Bolcienik kiedyś zajechać proszę.

EDWARD: Napewno nie omieszkam. A na migrenę — najskuteczniejszy jest okład z wody miętowej. U nas w domu...

MARIA: Okład z wody miętowej? Dziękuję za radę. Bardzo dziękuję. I żegnam panów — (odchodzi, ona woła za Tomaszem). Panie Tomaszu, prawda, że mnie pan rozumie, nie gniewa się drogi pan Tomasz, (cicho) ja jutro wszystko wytłomaczę.

TOMASZ: (Ogląda się, widzi, że Edward już wyszedł). Peri daruje — ja muszę jeszcze dzisiaj się z Peri widzieć, parę słów powiedzieć.

MARIA: Jutro!... ja domyślam się o co panu chodzi. Jutro!

TOMASZ: Utopię gdzieś tego szalawilego Edwarda i wrócę tutaj. Jutro będzie za późno.

MARIA: (Patrząc na zegar). Piąta już blisko. Nie zdążę mówić dzisiaj z panem Tomaszem.

TOMASZ: Peri oczekuje tutaj kogoś o piątej.

MARIA: Pan Tomasz wiedząc o tym — upiera się, aby mi przeszkodzić.

TOMASZ: Mario! Zaklinam ciebie!

EDWARD: (z przedpokoju) Tomasz!

TOMASZ: W tej chwili rzeczą najważniejszą jest pozbyć się Edwarda. Schowaj się pani, inaczej on nigdy stąd nie odejdzie. Wyprowadzę go i wrócę jeszcze — przed piątą.

MARIA: Ależ panie Tomasz!

TOMASZ: Mario — musisz się na to zgodzić — zaufaj mi. Jeszcze dość czasu do piątej.

MARIA: Czy się co stało?

TOMASZ: Jeszcze nic. Mario ukryj się — czuję, że Edward wraca. (Maria wysuwa się do drugiego pokoju. Tomasz chce wybiec do antychambry, zderza się z Edwardem).

EDWARD: (W płaszczu). A cóż wy tu macie za konszachty? Bałamucisz się, i o mnie zapominasz! Żal ci wizyty nieudanej?

TOMASZ: Cóż, kiedy panią głowa boli.

EDWARD: Coś mi się wydaje, że ona zdrowa jak rybka. Jak sądzisz Tomasz? czyżby sobie obyczajem naszych dam i ona pod miobecność meża spotkanie jakieś ułożyła? Ciekawy jestem tylko z kim. Bo że nie z tobą — to pewna.

TOMASZ: Płotkarzu szkaradny.

EDWARD: Filut z niej co się zowie. Ale zazdrośna! „Czy u państwa Kowalskich panowie często bywali?“ Musiałem się powstrzymać siłą, ażeby się nie uśmiechnąć.

TOMASZ: Przestań że raz (ciągnie go ku drzwiom).

EDWARD: Imaginuj sobie, jak ona Adamem zajęta — chciałem z nią o poezji pomówić, a ona tylko o jego balladach. Ja jej o moich, mówię raz, drugi... ona nic, ja do Sasa, ona do lasa, Adam i Adam... A ja myślałem, że ona interesuje się literaturą...

TOMASZ: Chodźże już, ty gaduło przebrzydły, bo cię uduszę. (Wychodzą).

MARIA: (Wychodzi z powrotem, wiążąc na palcu serdecznymi czarną wstążeczkę, przypatruje się swojej ręce głęboko zamysłona).

SŁUŻĄCY: Przyszła ta pani (podaje bilet na tacy) i mówi, że musi się widzieć z jaśnie panią?

MARIA: (przeczytawszy, wzburzona). Co? Kto taki? Proszę powiedzieć, że jestem cierpiąca. Nie chcę widzieć tej pani. Niema mnie w domu.

KAROLINA: (W szalu i kapeluszu, wszedłszy za służącym nieproszona). Pani hrabina wybaczy...

MARIA: (Stoi jak słup soli, patrzy na nią).

KAROLINA: Pani hrabina wybaczy moją śmiałość. Ja tylko na chwileczkę. Pani hrabina sama, więc nie przeszkodzę.

MARIA (podnosi głowę, jakby tym ruchem zapytywała o co chodzi).

KAROLINA: Jestem Kowalska. Karolina Kowalska z Kowna. Żona doktora. Pani hrabina wybaczy.

MARIA: Czym mogę pani służyć?

KAROLINA: Listy przywiozłam —

MARIA: Do mnie? (Skinieniem ręki odprawia służącego).

KAROLINA: (pomieszana). Tak. To jest nie. Ja przywiozłam listy do pana hrabiego. To jest nie ja, ale mój mąż. Jakieś ważne listy. Poczta u nas niepewna. Pani hrabina wie, nikt takich listów nie posyła przez pocztyliona. Więc mój mąż powiedział, że weźmie. Ale on strasznie zajęty, w Wilnie mało ma czasu, więc ja powiedziałam, że zaniosę. Bo ważnych listów to służbie nie można powierzyć.

MARIA: Mego męża nie ma w domu.

KAROLINA: A właśnie! Nasi mężowie to zawsze poza domem. Już mi to służący powiedział, ale ja sobie zaraz pomyślałam, że oddam listy tylko samej pani hrabinie. Bo to niewiadomo czy służący nie zgubi.

MARIA: Bardzo jestem waćpani w imieniu mego męża zobowiązana.

KAROLINA: (Ciągłe patrząc na Marię wyciąga listy z zaręczawka). Proszę!

MARIA: Dziękuję. (Bierze listy i odkłada, nie patrząc na nie).

KAROLINA: A jeszcze i to mnie ośmieliło do przyjścia, że my wspólnych przyjaciół mamy. I to serdecznych przyjaciół. Nie byle jakich. Pan Adam Mickiewicz w rodzinie pani hrabiny zawsze dobrze widziany? prawda?

MARIA: Owszem ...

KAROLINA: Tam w Kownie to jemu nieraz różności w głowie, tam szkoła nieprzyjemna, ponura i w klasztorze mieszka — z tego widać melankolija go ciśnie. Z chłopakami też sobie rady dać nie może, do tego to on już talentu nie ma, pożałuj Boże! Więc jedyna jemu pociecha, mogę powiedzieć, to ta przyjaźń, którą — oboje z mężem — mu ofiarujemy. Mogę powiedzieć, że on codziennym gościem w naszym domu. Siedzimy sobie i gadamy, a jak śpiewek nowy napisze także nam czyta. Wcale zrzeczne rymy układa, prawda? Szkoda, że takie smutne. Pani hrabina pewnie też taka melankoliczka, pewnie woli, że smutne?

MARIA: Poezje pana Mickiewicza są bardzo piękne.

KAROLINA: W jednej poezji to nawet zapisał coś, co ja mu powiedziałam. Chociaż ja tam nic bardzo mądrego nie wymyśliłam, ale to jeszcze mnie ojciec dobrodziej nauczył. A pan Mickiewicz to bardzo zgrabnie uformował, całkiem do rymu przypadło. Pani hrabina pewnie czytała o świteziance ... (deklamuje z pretensją)

„Słowicze dźwięki w męczyzny głosie,
A w sercu — lisie zamiary“.

Ja jemu tak zawsze mówię, bo on wielki bałamut — pani hrabina pewnie zauważyła...

MARIA: (przerzywa jej). Nie dziwię się, że pan Mickiewicz wdzięczny pani za tyle przyjaźni...

KAROLINA: (zmienia ton ponuro). Wdzięczny! Gdzie on tam wdzięczny! Już Kowno porzucił, chociaż w nim miał kawałek chleba na całe życie i przyjaciół dożgonnych. Powiada, że za granicę się wybiera, ale na razie tu, w Wilnie hawi. Widziałam go wczoraj — zdaleka. I pani hrabina wieś porzuciwszy, zapewne na dłużej do Wilna zjechała?

MARIA: (Zimno). Owszem, częściej bywać zamierzam —

KAROLINA: Aaa! To zapewne teraz z kolei pani hrabina naszego wspólnego przyjaciela w jego samotności pocieszać będzie.

MARIA: Pan Mickiewicz pół Wilna za przyjaciół sobie liczy; nie będzie tu odczuwać samotności. Ale waćpani pozwoli, że o jedno ja zapytam otwarcie: Czy to z rekomendacji pana Mickiewicza mam przyjemność waćpanią u siebie oglądać.

KAROLINA: O nie, to nie — ale tak wiele o pani hrabinie słysząc, nie mogłam się powstrzymać, ażeby jej na własne oczy nie zobaczyć. Proszę darować prostą babką ciekawość.

MARIA: (z obawą). Któż to waćpani tyle o mnie opowiadał? Czy może pan Mickiewicz?

KAROLINA: (triumfalnie). On? nie! Z jego ust nigdy ani słówka o pani hrabinie nie usłyszałam. Zdawałoby się, że nawet imienia wymówić unika. Aż mi dziwno było i nieraz do męża mówiłam, że to przecież niewdzięczność czysta tak o kimś życzliwym zapomnieć. Ale mój mąż — pani wybaczy — może nie powiadam powtarzać... mój mąż powiada: „kto tam wie, czy mu ta przyjaźń z jaśnie panami nie dokuczyła, że aż zapomnieć o niej woli“. Bo to mój mąż jest zdania, proszę pani hrabiny, że wysokie progi nie na nasze nogi. Przynajmniej my sobie równi jesteśmy, u mnie w domu on jak u siebie, prawda pani hrabino?

MARIA: (z widoczną radością). I waćpani powiadasz, że nigdy mnie ani słówkiem przed nią nie wspomniał?

KAROLINA: Nigdy! Taki niewdzięcznik. Ale może źle zrobiłam, mówiąc to pani hrabinie —? Pani będziesz się na niego może gniewać?

MARIA: (ciągle z radością, uśmiechnięta nawet). Gniewać? Nie! O to nie będę się na niego gniewać. A pani także nie jest dla mnie obca. Mnie o pani opowiadał - - - któż to? Ach pan Odyniec, który w Kownie bawiąc ...

KAROLINA: Ach, ten szatawiła, przeszkadzał nam co nie miara, ile razy chcieliśmy z panem Adamkiem o czymś szczerze sobie pomówić, plotąc wtedy właśnie swoje koszałki opałki.

MARIA: Mówił, że pani bardzo piękna.

KAROLINA: Ach, jemu tylko dusery w głowie.

MARIA: Widzę, że się nie mylił. A teraz wybaczyć mi proszę, że już pożegnana waćpanią. Jestem cierpiąca i, prawdę powiem — oczekuję kogoś, z kim widzieć się muszę bez świadków.

KAROLINA: I mnie mówiono o pani hrabinie prawdę. Widzę, że jesteś bardzo mądra. Równie mądra jak dumna. Chciałabym jeszcze tylko o coś zapytać.

MARIA: Proszę...

KAROLINA: Skoro pani jesteś taka mądra, o wiele mądrzejsza ode mnie — proszę wybaczyć, że się ośmielałam przyrównywać — to może mi pani powie, jak jej się zdaje... czy ja zachowam przyjaźni pana Adama?

MARIA: Tego wiedzieć nie mogę.

KAROLINA: Bo ja sobie poprzysięgam, jej nie stracić. Więc mu daruję i niewdzięczność i — więcej jeszcze. On jeszcze wróci do mnie do Kowna. A pani hrabina nie będzie mu o mnie mówić nic złego, prawda? Pani hrabina jest na to za szlachetna. (Wbrew formie tego co mówi — mówi prawie, że z groźbą).

MARIA: (z wybuchem). Po co pani tu przyszła!

KAROLINA: Przyszłam tu — z listami. Proszę nie omieszkając oddać ich mężowi, gdy wróci do domu. Są w nich ważne kwestie.

SŁUŻACY: Proszę jaśnie pani — pan Tomasz Zan pyta się, czy jaśnie pani go teraz przyjmie.

MARIA: Poprosić pana Zana, niech wejdzie. (Do Karoliny). Pani wybaczy...

KAROLINA: Tak, ja już odejdę. Nie chcę już dłużej przeszkadzać pani hrabinie. I przepraszam za najście. Ale czasem trzeba zobaczyć na własne oczy. Żegnaj panią hrabinę, życząc miłego pobytu w Wilnie. I proszę pozdrowić ode mnie naszego wspólnego przyjaciela pana Mickiewicza.

MARIA: Żegnaj waćpanią.

Alicja Iwańska

KLASYCZNY WIERSZ

Poznałam głodnych nocy
płonące pochodnie.
Krwia modliłam się ciemną
za ich ciemną sprawę
i rozżarzone, ciemne,
pochodniowe zbrodnie
czerpałam z piekieł ziemi,
jak z wulkanów lawę...

Widziałam białej Nike
marmurowy taniec:
znam chwilę, w której zbladła
i skrzydła rozpięła.
I ramion jej poczułam marmurowe
[drganie,
gdy płynęłam przez własny,
rzeźbiony ocean.

Duch mój, jak pątnik biały
przed konfesjonalem,
przed burzą, która przyszła
ze smutkiem ukłęknał,
bo jest czas, żeby zbrodnią
zapłacić za zbrodnię,
a nie ma, żeby pięknem
zapłacić za piękno...

CICHE AUTO

W ostre minuty krańców dnia,
w poranny gwar i gwarny zmierzch
zawsze najszersza z ulic miasta
wyrzuca mnie na wierzch.

Biegnę widziana, zauważona
do rzeki z falą asfaltu
i płynię za mną jak we śnie
ciche auto.

Wspólny nasz zamiar, wspólny cel,
ta sama meta,
choć we mnie tętni tylko krew,
a w aucie — metal.

Ważna jest cyfra. Nic nie znaczy
strach czy gniew.
Badamy w pędzie: ja — ich metal,
a oni — krew.

Wspólnie ujrzany kłębi się wzór
i gmatwa.
Przez krew czy stal
zespala się
z wodą asfalt!

Jeden jest zamysł
pragnień mych
i mego głodu,
by dotrzeć tam, gdzie łączy się
asfalt z wodą.

1943.

ZA GŁOSEM OJCZYZNY I LUDU

OD ŚMIERCI EDWARDA DEMBOWSKIEGO MIJA LAT STO...

Znacie człowieka, co zaparł siebie,
Co dla ojczyzny, braci, wolności,
Przebiegł pół świata o suchym chlebie,
Wyrzekł się żony, dzieciak, miłości,
Co mu wiatr zesiekł wychudłe lica,
Chlebem powszednim: cierpienia, troski,
Uściskiem: stryżek, grób, szubienica —
To emisariusz Edward Dembowski,
Co za to wszystko w chwili skonania
Chce tylko słyszeć dzwon zmartwychwstania.

W. L. Anczyc*).

I.

Głuchym i posepnym echem przebrzmiały w kraju ostanie salwy obrońców polskich spod Ostrołki, padły szańce zaciekle bronionej Woli, poszła w powietrze bohaterska reduta Ordona. Młodzieńczy zapal pamiętnej nocy belwederskiej spłonął bezowocnie, zgaszony brutalną przemocą despoty, rozwiany przez chwiejność i niezdecydowanie „wodzów” rycerzy-ospalców, ulegających egoistycznym wpływom arystokracji, bojącej się jak ognia wszelkich zmian społecznych i tłumiącej w zarodku każdą myśl o reformie agrarnej. Ciężka dłoń żadnego odwetu i zemsty cara Mikołaja spoczęła na całym narodzie polskim. Mimo najsurowszego ucisku i teroru ów „dzwon zmartwychwstania”, którego głos towarzyszył bohaterskim poczynaniom uczestników listopadowej nocy nie umilkł i nadal.

Idea walki zbrojnej o wolność ojczyzny i po doznanej klęsce bynajmniej nie wygasła. Przeciwnie, wyposażona w nowe doświadczenie stanęła na bardziej realnym gruncie. Każda bowiem klęska wojenna o bok straszliwych cierpień i strat, jakie przynosi pokonaniu, jest zawsze ostatecznie gorzka, lecz w dużej mierze wymowna i przekonująca lekcja historii, która zwykle surowym głosem dyktuje ospałym i zapatrzonym w przeszłość narodom swe niezbitne wnioski. Konsekwencją klęski listopadowej było głębokie przekonanie wśród najszerzych kół społeczeństwa polskiego o konieczności połączenia walki powstańczej z ruchem socjalnym, zapewniającym wszystkim obywatelom w odrodzonej ojczyźnie sprawliwie warunki bytu.

Ośrodkiem ruchu demokratycznego stała się emigracja, gdzie zgromadziły się najpotężniejsze indywidualności twórcze, zwłaszcza zaś we Francji, która jako ojczyzna Russa i Robespierre'a uchodziła za najwłaściwsze schronienie wolnomyślicieli z całej Europy.

Polska myśl postępową pozostawała pod przemożnym wpływem francuskiego socjalizmu, który zabarwił ją silnie mistyką, widoczną w artykułach Mickiewicza i Worcell'a, dwóch czołowych przedstawicieli polskiego emigracyjnego ruchu demokratycznego. Nic dziwnego, podczas gdy na łamach „Pielgrzyma Polskiego” ukazywały się artykuły Mickiewicza a Worcell pisał swą rozprawę „O wolności”, na wybrzeżach zaś Anglii wśród polskiego chłopstwa (gromada Grudziądz) budziła się i dojrzewała świadomość klasowa, twórcza naukowego socjalizmu Marks kończył dopiero gimnazjum w Trewirze. Działalność jednak Towarzystwa Demokratycznego, które z czasem wchłonęło w siebie Lud Polski i przeszło dużą ewolucję w kierunku bardziej rady-

kalnym, nie ograniczyła się do terenu emigracyjnego, ale również rozpostarła swe wpływy na kraj. Towarzystwo stało się inspiratorem tendencji demokratycznych, łączących sprawę niepodległości Polski z wolnością wszystkich uciskanych ludów w Europie i zamierzających do przebudowy stonków agrarnych, opartych na średnio-wiecznym feudalizmie. Wszelkie akcje zbrojne i prace konspiracyjne, począwszy od wypraw Żalińskiego, — zamierzeń rewolucyjnych Konarskiego i Goszczyńskiego aż do wybuchu powstania krakowskiego, rodziły się w kręgu ideologii demokratycznej, która znalazła i w kraju gorliwych wyznawców i propagatorów. „Emigracji winniśmy myśl ludową” — pisał „W prawdach żywotnych” Henryk Kamiński, starszy o 10 lat cioteczny brat Edwarda Dembowskiego, którego niewątpliwie był nauczycielem i mistrzem.

II.

Edward Dembowski, podobnie jak Worcell, należał do tych postępowych jednostek wśród warstwy arystokratycznej, które wskutek bliskiego kontaktu z zachodnio-europejską emigracją oraz pod wpływem wykształcenia i pogłębienia życia wewnętrznego w obliczu narodowego ucisku i społecznej krzywdy zatarcili zasadniczy zrab szlacheckiego poczucia klasowego i przeszli na pozycję anty-szlacheckiego demokratyzmu.

Ojciec Edwarda, kasztelan i senator Królestwa Kongresowego, w okresie powstania zwolennik dyplomatyczno-kunktorskiej polityki Czartoryskiego i Chłopickiego, zapewne nie spodziewał się jeszcze wówczas, że jego błady i wąty ośmioletni synek stanie się prawdziwą antypodą swego ojca, — że sprawę ludu, który był mu genetycznie obcy, uczyni treścią swego życia, — że z jego to ust padną słowa gorzkiej i bolesnej prawdy: „O biada wam, jeśli myśl wasza harda nie jest żądzą sprawienia szczęścia ludowi. Jeśli nie zdążą ku rozwinięciu żywiołów ludu, bo jeśli nie jest taką — jest czcza piosnką i nic nie jest warta”. (Tygodnik Literacki, nr 52, 1843. Notatki z podróży). W tej dysproporcji ideologicznej w łonie jednej rodziny nie było jednak nic z fenomenu i przypadku, lecz stanowiło jawne świadectwo dojrzewania w umysłowości światlejszych i szlachetniejszych jednostek postępowych teorii społecznych na tle ponurej i smutnej rzeczywistości, za którą czuli się w pewnej mierze odpowiedzialni.

Poza wspomnianym Henrykiem Kamińskim prawdziwego i szczerego przyjaciela na swej ideologicznej drodze znalazł Dembowski w żonie Anieli z Chłędowskich, która, dorównując mu energią i zapałem, nie tylko nie sprzeciwiała się jego śmiałym poczynaniom, ale wprost zachęcała i pobudzała do działań. Wspólnie z nią i z autorem „Prawd żywotnych” przystał do grona „entuzjastek i entuzjastów” warszawskich, którzy, skupiwszy się wokół założonego z funduszu Dembowskiego „Przeglądu Naukowego”, stali się w Królestwie ośrodkiem myśli demokratycznej, napływającej z zachodu. Grono, złożone z ludzi najróżnorodniejszych talentów i upodobań, najrozmaitszych usposobień i temperamentów, tworzyło jedną spójną całość dzięki wspólnemu umiłowaniu wiedzy i dążeniu do rozwinięcia za-

chodnio-europejskich zasobów ideologicznych. Tutaj niczym w osławionej „Kuznicy” Kollatajowskiej rozprawiano o najaktualniejszych problemach społecznych i politycznych, omawiano radykalniej niż na łamach „Przeglądu” sprawę ludu, jednym słowem roznoszono po świecie „ogniów jacobinickich zaród”. Tutaj Kamiński i Dembowski wygłaszali swe poglądy, oparte na teorii twórczości, tu współredaktor „Przeglądu” Skimborowicz rozstrzygał swe plany bibliograficzne, młody filozof Jan Majorkiewicz rozprawiał o Heglu, poeta Karol Baliński deklamował swe wiersze i tu wreszcie rodziły się wspaniałe koncepcje najpiękniejszych utworów Narceyży Żmichowskiej. Niekiedy nawet podobnie jak później si „narodnicy” „schodzili w lud” i starali się pozyskać go dla sprawy narodowej. A wszystko to działo się na początku piętego dziesięciolecia XIX wieku, kiedy według słów Jeża (Sylwetki Emigracyjnej) „szlachcie, Polskę zamieszkującej, demokracja przedstawiała się pod postacią czegoś zbrodniczego”. I działo się to w Warszawie, wycieńczonej po powstaniu i znoszącej odwet srogiej tyranii carskiej, wspieranej ciężką ręką Paskiewicza, — w tej Warszawie, w której obliczu despotyzmu pod groźbą śmierci nie wolno było żywić żadnej wolnościowej myśli. A mimo to grono „entuzjastów” w atmosferze depresji i marazmu zdołało wykrzesać gorący płomień młodego i bujnego życia, tętniący bezustanną nadzieją wolności i wiarą w potęgę i siłę polskiego ludu. W gronie tym nastąpiło do pewnego stopnia gwałtowne spięcie romantycznego entuzjazmu i uczucia z trzeźwym tchnieniem nowej epoki i przekształciło się w namiętny zapal i ufność w możliwość „układania historii w najpiękniejszy poemat” drogą poświęceń i ofiar.

Wśród wszystkich entuzjastów najbardziej płomienny i energiczny, najbardziej zapalczywy i nieustraszony był właśnie Edward Dembowski. „Strach czasem było tego dziecka z błękitnymi oczyma, z ślepych nie-doświadczeniem, a żądzą płomienną” — mówi o nim Żmichowska w „Obrazku wstępnym” do „Poganki”. — „Przezuwało się, że dusza jego silnym pchnięciem bożym w świat przestrzemi rzucona, musi bez spoczynku i zbroczenia jakieś fatalne, planetarne zakreślić koło...”

Ruchliwy i pojemny umysł Dembowskiego pozwolił mu pomimo 20 lat ogarnąć niemal wszystkie dziedziny wiedzy, wdzierać się śmiało na szczyt myśli europejskiej i połączyć pracę spiskowo-rewolucyjną z naukową i literacko-publicystyczną. Swe poglądy filozoficzne podobnie jak i społeczne urabiał Dembowski pod bezpośrednim wpływem Henryka Kamińskiego, który w swym głównym dziele filozoficzno-społecznym „Filozofia ekonomii materialnej ludzkiego społeczeństwa” starał się zmodyfikować i rozwinąć system Hegla, — nadać mu kierunek bardziej praktyczny i stworzyć „filozofię czynu”. „W stosunku tych dwóch ludzi — zauważa słusznie Maria Stecka w swym studium biograficznym o Edwardzie Dembowskim — (Lwów 1911 str. 8) — w pracy nad wytworzeniem i krystalizowaniem idei przewaga leżała zawsze po stronie Kamińskiego, podczas kiedy Dembowski młodszy i zapalczywszy staje się najdzielniejszym propagatorem wypracowanych wspólnie z przyjacielem przekonań”. Z niezwykłym zapałem i rozmachem rzuca Dembowski swe rewelacyjne na ówczesną epokę poglądy na łany „Przeglądu Naukowego”, którego połowę niemal sam wypełniał. (P. N. ukazywał się kwartalnie i liczył do 400 stron druku). Chociaż często-

*) Wiersz ten pt. „Emisariusz” ukazał się w wydaniu poezji W. Pola.

spiech i brak pogłębienia, to jednak z poza zawilosci stylu i dziwacznej terminologii wyziera zawsze myśl filozoficzna oryginalna i pod wzgledem społecznym zdumiewajaca swym radykalizmem. W zakresie filozofii przedstawia się Dembowski jako gorący zwolennik Hegla, którego nazywa „nowoczesnym Arystotelesem“ i w szeregu prac daje syntezę jego poglądów filozoficznych. Jednakże gorliwy uczeń „berlińskiego mistrza“ nie poprzestaje na biernej akceptacji i stara się stworzyć własną „filozofię przyszłości“, opierając się na konkretnej twórczości, będącej syntezą myśli i uczucia. „Filozofia przyszłości“, właściwa wiedza — mówi młody wyznawca Hegla — w „Przeglądzie“ — z roku 1843 (strona 340) — nie tylko myśl za żywioł świata, za istotę świata uznaje, lecz dołącza do niej dwa inne czynniki: uczucie i twórczość, które jednoznaczne z myślą i z sobą są zarazem jednoznaczne z bytem i tworzą w swej potrojności jedność, a są istotą wszystkiego“. Próbuje więc Dembowski maksymę Kartezjusza „myślę więc jestem“ zastąpić bardziej praktyczną „tworzę, więc jestem“. Utożsamienie twórczości z bytem staje się następnie główną tezą jego systemu.

Najwybitniejsze artykuły społeczne Dembowskiego, w których ostatecznie skrytykowały się jego zapatrywania, wykraczające swym radykalizmem poza granice francuskiego socjalizmu, przypadają na okres wzmoczonej działalności już w Wielkopolsce, dokąd udał się po wykryciu spisku powstańczego (Związek Narodu Polskiego) w Królestwie. W licznych pracach zamieszczanych w „Tygodniku Literackim“ i znanym w publicystyce poznańskim „Roku“ zawarł całokształt swych osobistych poglądów, w których nie brak było myśli zbyt śmiałych na ówczesną epokę, ale zawsze podyktowanych głęboką troską o los ojczyzny i ludu (por. Tyg. Lit. 1843 — Twórczość w żywocie społeczeństwa).

W sprawie metod realizacji zamierzonej przebudowy stosunków ekonomiczno-społecznych Dembowski stał na stanowisku bardziej radykalnym niż Towarzystwo Demokratyczne i podobnie jak autor „Prawd żywotnych“ w razie sprzeciwu nie cofał się przed rewolucją, która „niechaj natenczas jakikolwiek kosztem nastąpi, byle się stała“ (Prawd żyw. str. 63 por. Dembowski — Dziennik domowy z r. 1844).

Jako krytyk i historyk literatury wystąpił Dembowski w swym najobszerniejszym dziele pod tyt.: „Piśmiennictwo polskie w zarysie“, w którym pierwszy w dziejach naszej literatury podjął próbę społecznej analizy zjawisk literackich, przyjmując za kryterium oceny tendencje postępowe poszczególnych autorów.

Pomimo przesadnej częstokroć negacji, naiwności sądów i balastu bibliograficznego dzieło zawiera wiele spostrzeżeń bystrzych i trafnych dotyczących niektórych pisarzy (Rej, Mickiewicz), pieśni ludowych, reformacji i innych zagadnień i stanowi interesującą dla badacza naukowego próbę ujęcia dziejów naszej literatury pod kątem widzenia jednej zasadniczej i przewodniej myśli.

III.

Niestety wydalenie z zaboru pruskiego kładzie na zawsze kres dalszemu rozwojowi tego niepospolitego i śmiałego umysłu. Niebawem Dembowski jako emisariusz Centralizacji Towarzystwa Demokratycznego przybywa do Galicji z poleceniem rozciągnięcia organizacji na zabór austriacki. Swoi niezwykle zapał, graniczący niemal z fanatyzmem oraz niesamowitą energią, zaczerpniętą ze spisku w Królestwie, wnosi do no-

wego środowiska. Wbrew ewolucyjnym dążeniom Towarzystwa, zamierzającego na razie „ująć raczej umysły niż ludzi“ przez intensywną pracę agitacyjną kroczy zdecydowanie do wywołania powstania. Jego entuzjazm i zapał pozwalają mu rozwinąć sprężystą działalność, błyskawiczną rzutkość i fenomenalną ruchliwość do tego stopnia, że wkrótce legenda poczęła krążyć o zdumiewających czynach tego „apostofa wolności“, który „pojawiał się i zniknął, jako ogień w ciemnej nocy na bagnach, jak duch wymarzony w powieściach ludu“.

Ostrożna, bojaźliwa i oportunistyczna szlachta ze zdumieniem i nietajoną obawą słuchała płomiennych słów młodego rewolucjonisty, w których wrzała namiętna gorączka ideologiczna i dźwięczała głośna nuta romantycznego heroizmu, z łatwością tracącego realny grunt pod stopami.

Pomimo więc licznych trudności i sprzeciwu ze strony powiadomionego o wszystkim Centralnego Komitetu Poznańskiego wobec rozwoju przygotowań „wymarzona“ i oddawna realizowana niestrudzoną pracą i poświęceniem Dembowskiego rewolucja staje się faktem dokonany. Sparaliżowana zapobiegawczymi represjami we wschodniej Galicji wybucha ze zdwojoną siłą w nocy z dnia 20 na 21 lutego w Krakowie. Pierwszym jednak odgłosem salw powstańczych towarzyszył tragiczny spłot wydarzeń, osnuty na tle odwiecznej, niewyrównanej w porę krzywdy, ciężącej na sumieniu szlacheckiego ziemiaństwa. Oddawna pogłębianą przez rząd zaborczych przepaść między dworem a chłopem doprowadziła do rzezi galicyjskiej, w której utonął młody krakowski ruch powstańczy „dla dobra ludu dokonany“ (Dz. Rządowy nr 3, 24. 2. 1846). W ślad za wysiłkiem orężnym powstańców z „dymem pożarów i z kurzem krwi bratniej“ szło rozgoryczone widmo Szeli msząc się wiekowej krzywdy. W tej tragicznej ironii losu brzmiał znowu surowy głos historii, biorącej odwet za spóźnione opamiętanie i ciasny egoizm rządzących warstw. Bezpośrednią ofiarą tego „odwetu“ padł również Edward Dembowski. On jeden w ogniu rewolucji wśród niechęci i rozgoryczenia ogółu ciągle wzrastał w siłę i energię, pomimo niepowodzeń i przeciwności nie tracił swego rozpedu i rozmachu, nie znał wahań i załamania i nie wyzbył się wiary w pozyskanie ludu dla rewolucji. „Przemów tylko do serca wło-

ścianinowi polskiemu — pisał w artykule „Rewolucja i lud“ (Dziennik Rządowy nr 2) — pokaż mu faktem, że mu wolność, równość, braterstwo niesiesz, a nie ludzisz go próżnymi obietnicami... a wieśniak polski z całą duszą rzuci się w objęcia rewolucji“. Myśl o pozyskaniu wzburzonego chłopstwa nie opuszczała go ani na chwilę. Z niej powstał plan wyzyskania wpływów duchowieństwa i projekt uroczystej procesji z Krakowa przez Podgórze do Wieliczki dnia 27 lutego, który stał się tragicznym epilogiem rewolucyjnej działalności Dembowskiego. Przeszyty kulą austriackiego żołdaka i przebitý po trzykroć bagnetem ginie niezauważony wśród chaosu walki, jak ka zawrzała z napotkanymi oddziałami gen. Collina, podążającego na odsiecz Krakowa.

I chociaż niebawem padł gród podwawelski, umilkły ostatnie odgłosy rewolucji a sądy i terror zaborcy rozpostarły swą straszliwą działalność, to jednak wieść o Edwardzie Dembowskim bynajmniej nie umilkła. Uporczywie krążąca legenda głosiła nadal, że żyje, że działa, że nowe gromadzi siły. Płomienne widmo emisariusza dla którego „nie było innego Boga prócz Polski“*) nie przestało niepokoić uległych służalców zaborcy, chociaż już oddawna jego zwłoki spoczywały wśród ofiar rzezi na cmentarzu podgórskim. Ponad krwawe łuny pożarów, ponad dymy pogorzeliśk pamiętnego roku 1846 po dziś dzień wznosi się świetlana postać Edwarda Dembowskiego niby słup ognia ofiarnego na ołtarzu miłości ojczyzny i ludu, dla których dobra nie wahał się złożyć swego młodego życia.

W umysłach i sercach współczesnego pokolenia pamięć młodego emisariusza kojarzyć się będzie zawsze z odgłosem owego „dzwonu zmartwychwstania“, który w okresie niewoli budził w duszy szlachetnych jednostek żywiołowe pragnienie wolności i czynu, — ofiarę kazał uznawać za obowiązek i stał się bodźcem do nieugiętej walki z przemocą despotów, — inspiратorem postępowych myśli i zwiastunem rodzących się w kraju idei demokratycznych.

Aleksander Dzienisniuk.

*) Sala. Geschichte des polnischen Aufstandes.

Wacław Ślabczyński

CZY POLAK WYPRZEDZIŁ KOLUMBA

Sprawa Jana z Kolna, domniemanego odkrywcy Ameryki, zaprzęta uwagę historyków nie od dzisiaj. Nazwisko legendarnego żeglarza polskiego, w różnych wariantach, przewija się poprzez stare dzieła, atlasy, globusy od lat bezmała półtysiąca. Gdyby więc była to, jak chcą niektórzy, legenda — ma ona żywot bardzo długi i niełatwo ją będzie wyrwać ze świadomości społeczeństwa.

Sumienny Lelewel, analizując wielorakie nazwiska tego żeglarza, (jak Johannes Scolnus, Scolmus, Scolvus, John Scolno itp.) ustalił ostatecznie formułę Jana z Kolna i pod tym mianem postać ta wzbogaciła nasz ubogi panteon morski.

Kwestia nazwiska zresztą wydać nam się drugorzędna, najważniejszą rzeczą jest, czy pod koniec XV-ego wieku żeglarz narodowości polskiej postawił stopę na ziemi amerykańskiej.

Jeżeli przypomniemy sobie, że epoka wielkich podróży i odkryć geograficznych obfituje w dużo niejasności, że jedynie szczęśliwsi i staranniejsi podróżnicy zostawili po sobie piśmienną spuściznę, że odkrycia częstokroć były zazdrośnie ukrywane, że wreszcie, w czasach owych nie było urzędów meldunkowych na wybrzeżu Ameryki — dojść musimy do wniosku, iż wszelkie twierdzenia dotyczące tego okresu należy przyjmować z dużą dozą krytycyzmu. Trudno zresztą przypuszczać, ażeby cały tak ogromny kontynent mógł być na przestrzeni dziejów nie dotknięty ani razu.

Toteż wybitny uczony niemiecki Humboldt, rejestrując fakt podróży Jana z Kolna, wstrzymuje się przezornie od wydawania opinii.

Pierwszą natomiast próbę obalenia legendy Jana z Kolna podjął uczony polski, prof. dr Bolesław Olszewicz. („O Janie z



MARIAN MOKWA

AKWARELA

Kolna, domniemanym polskim poprzedniku Kolumba", Warszawa, 1933). Po kilku latach poszukiwań i studiów doszedł on do wniosku, że „Jan z Kolna jest osobą nieistniejącą”, aczkolwiek o kilka wierszy dalej przyznaje, że żeglarz o nazwisku „Scolvus” był postacią realną, ale narodowości jego „stwierdzić z całą pewnością nie sposób”. Prof. Olszewicz przypuszcza, że mógł on być Skandynawem.

Pamiętając, że „Jan z Kolna”, jak go zwie Lelewel, był żeglarzem w służbie króla duńskiego, nie powinniśmy się dziwić, że często źródła obce, zwłaszcza skandynawskie, biorą go za Skandynawa. Wszak a-nektowanie wybitniejszych ludzi jest zjawiskiem częstym i zrozumiałym, że przytoczymy choćby Conrada czy spory na temat Kopernika, Wita Stwosza, Kolumba, Homera i wielu innych.

Nie widzimy zresztą powodu dlaczego za jedynie poważne uważać mamy źródła skandynawskie, mogące być w danej sprawie stronniczymi, natomiast przechodzić do porządku dziennego nad innymi źródłami, jak np. francuskimi, niemieckimi, angielskimi, zważywszy żeglarza Polakiem.

Wydaje się również, że potraktowanie Francuza Belleforesta (który w r. 1750 nazwał odkrywcę Polakiem) jako kompilatora i przez to niegodnego zaufania — jest trochę krzywdzące. Wszyscy bowiem autorzy w mniejszym lub większym stopniu są kompilatorami; jedynym czymś niekompilatorskim w historii było stworzenie świata, a i pod tym względem niebrak sceptyków.

Również jeżeli chodzi o trasę podróży Jana z Kolna, czy jak woli nazywać prof. Olszewicz, Scolvusa, nie możemy się oprzeć pewnym wątpliwościom. Nie wiemy dlaczego prof. Olszewicz traktuje jako pewnik, że żeglarz, o którego nam chodzi, mógł brać udział jedynie w wyprawie Pininga i Pothorsta w r. 1476, a nie mógł na przykład odbyć innej podróży; dalej dlaczego odkrycie Labradoru jest nieporozumieniem, powstałym na tle pomieszania Grenlandii z Labradorem. Jeżeli w tym czasie znajomość geografii była tak słaba, że można było wziąć Grenlandię za Labrador, to dlaczego nie można przyjąć i odwrotnej możliwości, dlaczego omyłki ówczesno komentować ma-

my w tym sensie, jaki nam jest wygodny. I pragnęlibyśmy wiedzieć na czym autor opiera twierdzenie, że wyprawa Pininga i Pothorsta „dotarła do wschodnich, a zapewne i do zachodnich wybrzeży Grenlandii”. Już samo słowo „zapewne” stawia ścisłość zakreślonej przez prof. Olszewicza marszruty pod znakiem zapytania.

Wszystko to razem sprawia, że (patrzac co prawda na rozprawkę oczyma zwykłych śmiertelników, nie specjalistów) nie możemy oprzeć się wrażeniu, iż są pewne luki w dowodzeniu i nie czujemy się zupełnie przekonani. Jakże zresztą możemy być przekonani, skoro sam autor na wstępie swojej pracy pisze: „w obecnym stanie rzeczy stwierdzić można tylko jedno: nie d o s t a t e c z n o ść d a n y c h ź r ó d ł o w y c h d o c a ł k o w i t e g o w y j a ś n i e n i a s p r a w y” (podkreślenie nie nasze).

Jeżeli więc szanowny autor wychodzi z tego założenia, to jakim prawem pisze na końcu „praca ma przynosić, jak sądzę, dostateczne dowody do obalenia... legendy Jana z Kolna”.

Wydaje się, że wobec „niedostateczności danych źródłowych” nie należałoby zbyt mocno nastawać na żywot legendy — i nie zabijać jej przynajmniej do chwili, aż się znajdą „dostateczne dane źródłowe”.

Jeżeli o te ostatnie chodzi, zapytujemy autora, czy pracę swą oparł na wszechstronnych i osobistych poszukiwaniach w archiwach kopenhaskich, a ewentualnie norweskich i angielskich, gdyż to, zdaniem naszym, jest warunkiem „sine qua non” do zabierania jakiegokolwiek głosu w tej sprawie.

Na zakończenie zacytujemy jeszcze szereg punktów z rozprawy, które wydają nam się nieprzekonywujące. I tak, nie umiając nic z wielkości i charakteru Kolumba, nie możemy się zgodzić ze słowami, że „Krzysztof Kolumb... pozostaje więc jedynym prawdziwym odkrywcą Ameryki”. Odkrycia przedkolumbijskie są faktami bezspornymi i w rozprawie naukowej uważalibyśmy raczej za ścisłe powiedzenie, że Kolumb „zapoczątkował eksplorację i eksploatację Ameryki przez Europejczyków”. Zapominając o poprzednikach Kolumba, czyni-

my im wielką krzywdę, tym więcej, że wyprawy ich, jak wszystkie czyny przedwcześnie, miały nawet więcej posmaku bohaterkiego i romantyzmu. Gdyby zresztą najbardziej zainteresowaną osobę wskrzesić i zapytać co odkryła, odpowiedziałyby prawdopodobnie „Indie”! Jeszcze to jeden dowód więcej, jak okres ten był niejasny i jak możliwe tu są różne niespodzianki. Poza tym u schyłku średniowiecza świat dojrzał już do odkrycia Ameryki i gdyby tego nie dokonał Kolumb, w kilka lub kilkanaście lat po nim odkryłby ją inny człowiek.

O podróżach Basków, Bretończyków i innych nie mówimy, gdyż żądanych przez profesora dokumentów nie znamy, ale pod jednym przynajmniej względem czujemy się uprawnieni do zgłoszenia sprzeciwu. Profesor Olszewicz pisze, że sięgnął w głąb zagadnienia, a mimo to, odmawiając większej wagi odkryciom Wikingów, pisze, iż „określenie miejsca wyładowania... Wikingów jest niemożliwe”. Wydaje się, że nie byłoby to tak bardzo trudne, tym więcej, że niedawno przed wojną, w głębi U. S. A., w stanie Minnesota, odkryto znaleziska po Wikingach. Czyżby autor o tym nie wiedział?

W punkcie 8-ym swoich wniosków prof. Olszewicz pisze o podróżach żeglarzy francuskich z Norwegii do Nowej Fundlandii. Interesuje nas, dlaczego żeglarze francuscy za bazę swoich podróży mieli brać Norwegię?

Wspominając o czasach starożytnych, autor krótko pisze, że o jakichkolwiek stosunkach z Ameryką „niema mowy”. A czy znane są p. profesorowi prace lingwistów, którzy w języku Indian Keczua, dopatrują się wpływów fenickich, greckich i którzy nawet starą nazwę Amazonki Solimoes wywodzą z języka arabskiego. Czy prace te są zupełnie bezwartościowe?

Jeżeli mowa o czasach starożytnych, to czy nigdy nie wpadły autorowi w ręce utwory starożytnych pisarzy, (choćby Seneki), gdzie znajdują się wyraźne aluzje do wielkiego ładu na Zachodzie. I tutaj ośmielamy się wyrazić pewną sugestię: czy powszechna w starożytności wiara w Atlantyde (obalona przez współczesną naukę) nie ma przypadkiem źródła w jakichś stosunkach z Ameryką?

Nie rozumiemy również dlaczego Pomponiusz Mela i Pliniusz starszy, pisząc o ludach „Indii” musieli się mylić, mając na myśli „Vindi” — Słowianie. Wynikałyby stąd bardzo doniosłe dla nas wnioski, że Wendowie żyli niegdyś nad Atlantykiem. Nie występując przeciw tej tezie, nie możemy się jednak zgodzić na dwojaką miarę: tacy autorzy jak Pliniusz i Pomponiusz Mela mogą się mylić o jedną literę, natomiast Skandynawie nie mogą się mylić i zmieniać „Scolnusa” na „Scolvusa”.

Kiedy mowa o nazwisku, pozwolimy sobie na małą dygresję. Argument, że nazwisko „Scolnus” nie mogło powstać na gruncie fonetyki polskiej (z Kolna — Skolna — Scolnus) nie trafia nam do przekonania. Wszak nazwisko Kopernik nie było nazwiskiem łacińskim, a mimo to astronom nazywany był „Copernicus”. Podobnie np. Hugo grotius. Teza, że żeglarz musiałby nazywać się Joannes de Colno, Colnensis itp. byłaby słuszna, gdyby cudzoziemcy znali język polski i wiedzieli co „z Kolna” oznacza.

I nie rozumiemy dlaczego „z teoretycznego punktu widzenia” ma być „najzupełniej słusznie kwestionowane pochodzenie rzekomego odkrywcę z Kolna pochodzącego” a wskazywane Kolno pomorskie. Gdyby wyczyny morskie uzależnione były zawsze od pochodzenia z ziem nadmorskich, to prawdopodobnie Balboa nigdyby nie od-

krył Oceanu Spokojnego, a Conrad nie napisalby ani jednego arcydzieła morskiego.

Dalej prof. Olszewicz pisze, że odkrycie Ameryki przez Chińczyków nie miało miejsca. Ale faktem bezspornym i przyjętym dziś przez naukę amerykańską jest, że jakieś plemiona mongolskie nie tylko odkryły Amerykę, ale ją nawet zaludniły, czego namacalne dowody znalazł chociażby Kolumb w r. 1492. Wielka emigracja na wschód, z Azji do Ameryki, odbyła się przed 10 do 25.000 lat. Nie jest to dużo, jeżeli się zważy, że wiek „człowieka pekińskiego” jest oceniany na 1.000.000 lat.

Do poruszenia tematu Jana z Kolna skłoniło nas to, że niedawno wpadła ręką w ręce książka, wydana w czasie wojny w Ameryce, gdzie znów zajęto się tym zagadnieniem. (Emil S. Jordan. — Americans. N. Y. 1939).

Nie wiemy, czy nazwisko autora reprezentuje jakiś ciężar gatunkowy, bo nie ma przed nim żadnego tytułu naukowego, nie wiemy czy przeoczył on pracę prof. Olsze-

wicza, czy też może znalazł nowe źródła. W każdym razie, gwoli ścisłości, rejestrujemy i tę opinię. W miejscu zatytułowanym „Inny odkrywca Ameryki” — pisze autor:

„Jan z Kolna (Jan of Kolno), polski żeglarz, osiągnął wybrzeże Labradoru około dwudziestu lat przedtem, zanim „Santa Maria” Kolumba wyruszyła z Hiszpanii; jego podróże zaprowadziły go tak daleko na południe, jak ujście rzeki Delaware. Chociaż polskie koła historyczne akcentują jego osiągnięcia, formalna historia mało się nim zajmuje”.

Wydając swą broszurę przed trzynastu laty, z okazji Międzynarodowego Kongresu Historyków, prof. Olszewicz zapowiedział ogłoszenie obszerniejszej książki na ten sam temat. Niestety, do dziś nie doczekaliśmy się tej ze wszelkich miar interesującej pracy; pracy, która, być może, rozwiązałaby wszystkie wątpliwości, jakie nasunęły nam się przy czytaniu małego kompendium.

Wacław Ślabczyński.

Alfred Kowalkowski

PRZECZUCIE MORZA

Artur Maria Swinarski ostatni swój tom poezji zatytułował „Przekleństwo morza”. Wieloznaczny, a tym samym wiele obiecujący ten nagłówek każe nam przypuszczać, że wiersze Swinarskiego są próbą szerszego oddechu naszej suchotniczej — jak dotychczas — literatury marynistycznej. Jakkolwiek bowiem nicować patetyczny bądź co bądź tytuł zbiorku poezji Swinarskiego, zawsze powstają pewne asocjacje z conradowskim przeżyciem morza, gdzie żywioł jest często już nie tłem, lecz motorem akcji, a nawet jej bohaterem, usuwającym w cień człowieka. Żądanie takiej „wielkiej żeglugi” w stylu Conrada niejednokrotnie wysuwała krytyka nasza pod adresem literatury, jak sądzę jednak, chyba przedwcześnie, a do pewnego stopnia nawet szkodliwie.

Łatwo to udowodnić. Przed wojną ukazała się nakładem Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Gdańsku antologia polskiej poezji morskiej. Pomijając już zbytnie rozděcie tego zbiorku przez włączenie do antologii każdego wiersza, w którym tylko o morzu wspomniano, stwierdzić trzeba, że niemal wszystkie publikowane tam utwory — to marynistyka albo wycieczkowa, albo publicystyczna. Sam urodzony nad morzem, miałem niejednokrotnie sposobność konfrontować naszą literaturę marynistyczną z rzeczywistością i wertując kiedyś w Gdańsku powyższą antologię, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że czytamy wiersze turystów, którzy morze oglądali tylko z plaży, lub co najwyżej w czasie przygodnej przejażdżki. Gorzej jeszcze, że często u naszych poetów spotykało się tematykę morską tylko jako odzew na popularne hasła o wybrzeżu, dostępie do morza, polskich interesach morskich itp. Jak Wierzyński pisał: „skazuję was na wielkość”, tak inni skazywali nas na morskość, nie myśląc o tym, że życie się z żegluga wymaga od człowieka takiego stopnia przygotowania i takich samych, a może i większych przemian wewnętrznych, jakim niegdyś podlegał szczerp przechodzący od koczowniczej hodowli zwierząt do trybu życia osiadłego, do rolnictwa, proces bowiem jest tu wręcz odwrotny.

Conrad w ciągu wielu lat spędzonych na oceanie dążył wewnętrznie do tej przemiany, a niewątpliwie konieczność czerpa-

nia z bujnych tradycji marynistycznych angielskich zmusiła go w dużej mierze do pisania właśnie językiem angielskim a nie polskim lub francuskim. Warto przy tym zwrócić też uwagę na fakt, że działalność literacką podjął on bardzo późno, chociaż napewno mógł przeczuć w sobie — jeśli już nie genialność — to przynajmniej pewne zdolności pisarskie.

Poza tym sięganie do wzorów conradowskich przekracza możliwości naszych pisarzy choćby z tego powodu, że nikomu niemal z Polaków nie udało się jeszcze ująć tematki najbliższej i najbardziej swojskiej — tych wszystkich wartości treściowych, jakich dostarczyć może literatowi Bałtyk. Również Żeromski w „Wierze od morza” pewnie czuje się na wybrzeżu, gdy głębie i przestrzenie morskie stanowią dla jego opisów nie miejsce akcji, lecz bezkresne, majestatyczne przedłużenie

horyzontu. Trudno się temu dziwić, skoro nawet najbardziej w tej dziedzinie kompetentna nasza gwarowa literatura kaszubska, skąd inąd bogata i wszechstronna, właśnie najuboższa jest w poezję opartą o przeżycia morskie. To też wydawca pism Majkowskiego, Andrzej Bukowski, jeden z najlepszych znawców kaszubszczyzny, w bydgoskiej prelekcji, poświęconej twórczości czołowych poetów tego regionu, nie mógł mestety zacytować ani jednego wiersza o tematyce marynistycznej.

Tak więc w tomie poezji Swinarskiego niewspółmierność tytułu i zakresu treści tych kilkunastu wierszy, chociaż nieco różną, można w pełni wytłumaczyć. Szkoda tylko, że poeta uprawiając najrozmaitsze rodzaje literackie, zbyt mało czasu poświęca tak bardzo u nas zaniedbanej tematyce morskiej, w której bezsprzecznie jako rodowity Pomorzanie i kiedyś stały mieszkaniem wybrzeża, mógłby się wypowiedzieć znacznie bogaciej i szerzej.

W tytułowym poemacie zbiorku znajdujemy jedno zdanie, które zapowiada rzeczywistość więcej, niż można zdawałoby się stworzyć w naszej literaturze, cierpiącej na niedostateczne życie się człowieka z morzem:

....kto nocą po mnie wędrował samotny
i kto
raz czuł, że najbliższym łodem nie brzoż,
ale dno,
kto wtedy rozumiał, truchlejąc, myśli
mymch szum:
to zawsze zrywać się będzie z portowych
cum.“

W tych słowach, wskazujących dno morza jako najbliższą żeglarzowi ziemię, jest wycucie głębi i przestrzeni. Swinarski stawia tu w należyтым świetle i dystansie problem o silnym napięciu dramatycznym. Zaraz jednak trzeba stwierdzić, że poeta odchyła jedynie na moment zasłonę, za którą kryje się ożywiona i wielopłaszczyznowa scena. W rezultacie w zamierzonym na miarę losu „przekleństwie morza” pozostaje tylko przecucie prawdziwej żeglugi i wielkiej przygody. Ale to przecucie potęgi morza, nie rozwiązujące wprawdzie jeszcze zagadnienia, lecz umiejscawiające je mimo

MARIAN MOKWA

AKWARELA



wszystko we właściwej płaszczyźnie, to już w naszych warunkach bardzo wiele.

Oprócz tego Swinarski często patrzy na morze oczyma typowo polskimi, oczyma człowieka kontynentalnego. Znać to w porównaniach, w których bezmiar wód utożsamia poeta z bezkresnymi polami, które bronuje się i karczuje, nieraz zdaje mu się, że morze jest lanem fiolków, że fale układają się w miedze, że w szmerach swych naśladować szum liści polskiego lasu. W ten sposób nabiera morze pewnych cech rodzimych i powstający obraz nie jest już obrazem dowolnym, charakteryzowanym międzynarodową nomenklaturą sztormów i bryz, mierzoną busolą, logiem i sondą, lecz wywołuje w nas skojarzenia bliskie naszemu rodzajowi odczuwania i przeżywania krajobrazu.

Dla swej marynistyki poeta nie szuka jednak oryginalnej formy. Swinarski nie ustrzegł się specyficznej pozy podróżnika-intelektualisty, pragnącego oślniewać encyklopedyczną wiedzą o świecie. W takiej atmosferze droga prowadzi nieuchronnie do klasycyzmu, do określania rzeczy nie przez wybór rysów najwybitniejszych, lecz przez możliwe najwszechstronniejszy opis. Niezwykłym przykładem tego klasycyzowania jest wiersz „Diadumenos”, który można ra-

zumieć również jako szeroko rozwinięta personifikację — porównanie morza przywołanego przed burzą ze skupioną w sobie postacią polikletowego młodzieńca.

Ale jak istnieje tu całkowita dowolność interpretacji, polegająca na odwracalności powyższych obrazów, tak trudno stwierdzić, czy Swinarskim kierowała przy takiej stylizacji chęć dokładnego wyrażenia uczuć i wyobrażeń niesprawdzalnych dla czytelnika, czy też znane upodobania klasyczne poety popchnęły go do skojarzenia tematyki marynistycznej z motywami antycznymi i formą antyczną, objawiającą się np. w wierszu zatytułowanym „Ster” w ścisłym przestrzeganiu strofy alcejskiej. Określmy styl jako świadomy wybór tych właściwości opisywanego przedmiotu, które uwzględniają potrzeby odbiorcy i zważymy, że sam poeta jest pierwszym swym czytelnikiem, a wówczas z łatwością dojdziemy przyczyny licznych sprzeczności w twórczości Swinarskiego: jednoczesnej jego popularności i ekskluzywności, oryginalności oraz zależności formalnych.

W ten sposób oceniana poezja Swinarskiego jest niewątpliwie pozycją poważnie wzbogacającą polską literaturę.

Alfred Kowalkowski.

Zofia Drwęska-Doeringowa

ZIEMIA

Wójt Marcin Wykusz, wojna, czy nie wojna zawsze jakoś radził sobie. Chadzał w dostatnim przyodziewku, na głowie nosił filcowy, miejski kapelusz, w rękę laskę do podpierania, a na nogach wysokie z pierwszorzędnej „wojennej” skóry, wyświecone jak lustro buciary. Z siedem, dzieścięć, a może i więcej tysiączków musiały one kosztować.

Hardy był Marcin Wykusz tyle co bogaty, i ludzkiego, dobrego czucia mało co posiadał w sercu.

Miał rodzzonego brata — Mikołaja w tejże wsi, ostatnia chałupa pod lasem. Ale, choć to i brat rodzony był i niedaleko mieszkał, nigdy nie wkroczył w jego obejście.

I nie dziw. Wójt był najbogatszy, najbardziej ceniony z gospodarzy, a Mikołaj — cherlak z chorowitą żoną i dwojgiem dzieciaków — mizeraków. Był chyba najbiedniejszym nie tylko z całej wsi, ale z całej okolicy. Istna nędzota.

Imał się każdej roboty i harował uczciwie. Był to robotnik nad robotnikami i zdawało się, że Pan Bóg nie dwie, a cztery ręce dał mu do pracy. Coż, kiedy na nic się jego harda harówka nie zdała. Nie było jeszcze dnia takiego, żeby się sam najadł dosyta, a i Magda z dziećskami nie raz i nie dwa — głodowali. Takie to już było jego szczęście.

— I czemu to tak w tej Polsce jakosik jest — biedolił — że jednemu biedy wyżej uszu, a drugiemu przez wierzch miski się przelewa? Ale honorność w nim była wielka. Choć nawet nie miał co jeść, nigdy do brata — bogacza ręki nie wyciągnął.

— Pójdźcie no do wójta — mówili sąsiedzi — toż to brat, rodzina — pomoże.

— Rodzina — splotwał chłop na gliniastą podłogę izby — taka to dla mnie rodzina, jako ten wilk, co nocką na skraju lasu zawodzi.

czeladzi szkodował sobie. Miewał straty to w tym, to w owym.

— Czemu to z Magdą nie chcecie przyjść do roboty?

— Ano, nie chcemy.

— Czemu?

— Bo, nie — i już.

— Dziady — syknął wójt złośliwie i odszedł.

A Mikołaj często chadzał samotnie na wysoką polanę w bukowym lesie. Stąd widział dokładnie cały Marcinowy dobytek.

Kawały ziemi, hen, aż za lasem — Marcinowe; pastwiska z modrą plamą wody, stawem rybnym — też jego; te role — jego; grządki skopanych kartofli — jego; i wazrywniki i ogrodowizna. Tyle ziemi, tyle ziemi — wszystko marcinowe!

Patrzył Mikołaj z zazdrością. Nie, nie z zazdrością. Z miłością nieogarniętą, niewysłowioną, panoszącą się mu w głębi duszy. Męczył się pragnieniem ziemi, której mu los odmówił. Byłby ją całował i tulił do piersi tę ziemię polską, najdroższą, tę ziemię marcinową.

— Ziemi, ziemi, rolo-ż ty moja rodząca! jęknął głośno.

— A czy oddałbyś tę ziemię za dzieci swoje? — szepnęło nagle coś we wnętrzu. — Oddałbym — odpowiedział sobie w duchu. — A Magdę — żonę? — I ją — także. — A duszę swoją? — Boże, Bożyczku sprawiedliwy, nie wódz mnie na pokuszenie, bo i duszę chyba oddaćbym rad — zapamiętał się w sobie. Przecież potrafił na tej obcej ziemi pracować przecież rok rocznie najmował się do pracy w tej ziemi orał, kosił, młócił. A zawsze cudzą — nigdy nie swoją. — Chociażby nie wiem jak silił się na wszystkie sposoby, choćby nie wiem jak pracował, nigdy jej mieć nie będzie. Nie miał przed wojną, nie ma we wojnie, nigdy jej nie posiędzie. Inni mają, jakościś ją sobie zdobyć umieli — a on co? Niedolega — dziad...

To ostatnie, warem upokorzenia uderzyło do głowy. Słyszał kiedyś, jak — brat do-robkiewicz nazwał go tym wyzwiskiem.

— Dziad...

Wrócił do chałupy. Nie odezwał się ani do dzieci ani do żony. Zjadł na wieczerek kilka ostyglych już kartofli i jak pijany rzucał się na swe legowisko.

Zeszedł jeden dzień i drugi. Schodziły długie miesiące. Coś się odmieniało. Mikołaj gazet nie czytywał, ale co było ciekawsze, a jego obchodzące, dowiadywał się od ludzi, kiedy był w mieście.

Dnia któregoś wpadł do izby jak wicher. Szarpnął żonę za rękę, dzieci z ziemi porwawszy, zaczął obcałowywać, to jedno to drugie, przyciskać do piersi w jakiejś nieopanowanej radości, obracał się z nimi w kółko i pokrzykiwał głośno:

— Magda! Dzieci! Będziecie mieli prosięta i cielną krówkę i kilka korecy ziarna i ziemiaków wiele zechcemy, i kilka sztuk płótna na przyodziewek i dużo stówek i ziemi kawał! I kawał ziemi, naszej polskiej, swojej ziemi! Magda! Dzieci!

Jakaś nieznaną, przeogromną radość niewiedzieć musiała nagle jego zbolełą duszę, bo znów śmiał się i przytupywał i podrygiwał, a potrząsał głową, aż Wiciek poczał się śmiać głośno, a Helka, najmłodsze, rozplakała się złośliwie. Żona zaś szeroko rozwarła oczy, bo zlekła się, że chłop jej zwariował.

— Mikołaj, na Boga, co ci to?

Opamiętał się chłop. Postawił Wicka na ziemi, otarł końcem sukmany zwilgotniały z płaczu nos Helki i usiadł ciężko na ławie.

OPOWIADANIE

Sam też był cienki i wychudzony przez wojnę jak to wilczyśko z lasu. Na długiej, cienkiej, szyi osadzona była niewielka zawsze dziwnie potargana głowa z twarzą suchą, kanciastą i bezbrzeżnym smutkiem w oczach. Ciało obleczone w byle jaką kataną, prężne jeszcze było, ohotne do roboty.

— Boże, Bożyczku, żebyż choć raz w zimie móc ogrzać do syta moje biedne dzieciaki, żebyż choć raz dać im tyle jadła, coby rzekły: dosyć.

Ale takich dni nie było nigdy ani u niego, ani jak sięgnął pamięcią, u rodziców i dziadków.

— Już widać takie nieszczęsne nasze pokolenie — myślał chłop zgnębiony.

— Ale, bo nie! — zachnął się po chwili — Marcin to, brat jego rodzony, czy to nie starczy mu na wszystko, czy mu to na czym zbywa? Miał ziarno, miał owies, miał żyto, siano, kartofle, miał dwa konie, kilka krów, a co świń i drobiu! Inwentarz liczny jak się patrzy. A iluż to ludzi mu sługusowało. A bo to raz wołał go do roboty?

— Pójdź, pomóż zwozić snopki do stodoły, zarobisz sobie, zapłacę ci galancie, bo mi trza prędko zwieźć, niepogoda idzie, — mawiał głosem łaskawym.

Mikołaj nie szedł. Do każdego rad był iść pracować, bo z tego przecież żył, ale bratu — wójtowi — bogaczowi harować jak jaki przybłęda — nie chciał.

Nie podobała się wójtowi ta honorność brata — nędzarza. Bo chociaż i babę jego wzywał na okopki, czy do pomocy w opierunku swej żonie — baba nie szła. Nic to, że zachęcał, nic, że obiecywał, jak to się praktykowało we wojnie, zamiast opłaty, kawał słoniny, ćwiartkę kartofli i dzieżkę twarogu na dodatek — nie szła.

A do roboty ludzi było mało i wedle pola i wedle obejścia. Wywożono do Reichu, do pracy, na fabrykę. Wójt często z braku

O OŚWIATĘ WSI POMORSKIEJ

— Jak myślisz, Magda, — rzekł z nagłą troską — w mieście czytają i mówią, że wedle tej skończonej wojny, to każdy chłop — biedak, chcący serdecznie na roli pracować, dostanie dla się kawał ziemi. Jak myślisz, Magduś, może-ż to być prawdą?

Uspokoila się Magda. Toć Mikołaj zdrow jest i przy swoich zmysłach, nie prawi od rzeczy, choć dziwnie jakoś słyszało się to, co do niej mówił.

— Skoro ludzie mówią, a gazety piszą, to musi być prawda. — I umilkła. Nie była ona rozmowną, bo to w smutku i niedostatku nie ma się humoru gęby do nikogo otwierając.

Otucha wstąpiła w serce Mikołaja. Usiadł i rozmyślał. Patrzał, jak żona gotuje w garnku, na kilku uzbieranych w lesie gałązkach, parę kartofli w łupinach.

— Tato — odezwała się nieśmiało Helka.

— A co?

— A będziemy mieli okraszone dziś ziemniaczki?

— A to czemu?

— A skoro jesteśmy tacy bogacze, tatku...

Okraszone ziemniaczki. Obejrzał się w koło. Przecież nic w izbie prócz tych ziemniaczków do spożycia nie było. Bulgotyła w garnku, parą napęliając izbę.

Przycisnął dziecko do siebie. Spłynęły mu łzy gorące i rzewne.

— Moja ty biedaczko kochana! — szepnął łkając. — Tam, gdzieś, daleczko, gdzie pojedziemy do nowej Polski, na nowe ponemieckie ziemie, tam nigdy Helka głodną nie będzie, i nigdy już Helce paluszki z zimna nie uziębna. Nigdy. Tatko pracować umie, tatko pracować będzie. Wszystko nam się na lepiej odmiennie.

— Tato płacze? — dziwowała się Helka.

— Płacze — powtórzył Wicus

Drugiego dnia obudził się wcześniej przed świtem. Zapalił płomyzek knotka w szklanecze z brudnym olejem, odział się i popatrzył na żonę i dzieci. Spały przytuliwszy się z zimna ciasno do siebie pod lichą płachciną. Zdjął z siebie ostrożnie podarty kożuch i delikatnie przykrył nim dzieci.

A potem wyszedł z izby. Gnało go coś, ażeby jak tylko późno, jesienne słońce wszędzie oglądać już ukochaną ziemię.

Szedł, szedł, coraz dalej, coraz głębiej z góry na dół, wzdłuż strumienia, przylaskiem, przez pagórki, przez miedze i patrzył, na ziemię ukochaną — napatrzeć się nie mógł. Już nie dręczyła go myśl, że inni tyle mieli, a on — nic. Tak było przed wojną i we wojnie. I każdy mógł nim dowoli poniewierać. I rodzony brat z pogardą — dziad — mówił o nim. Tak zawsze było, Jezusicku miły, nędza, ziąb, upokorzenie od możniejszych, od hogatszych, co umieli sprytem i nieuczciwością dobytek powiększać.

Westchnął głęboko i jakby jakiś przeogromny ciężar spadł mu nagle z piersi.

Spojrzał jasną, błyszczącą źrenicą na tę ukochaną polską ziemię, rozłożył szeroko ramiona, jakby tę czarną ziemię chciał objąć i przytulić do swych wychudłych piersi.

— Pojadę-ż, pójde daleko do tych nowych ziem, co leżą hen na zachód, boć i mnie biedakowi należy się kawałek ciebie, polska ziemi! Będę ci wiernie pracował jako najlepszy syn twój. A za to gorące miłowanie chcę cię mieć na własność, pragnę, byś mi kwitła i pachniała, chcę, byś rodziła złote ziarno, byś dała żonie i dzieciom dowoli chleba, ziemi upragniono, ziemi moja!

Bo, jeżeli teraz mi cię nie dadzą, to już nigdy, nigdy...

Największą i najbardziej palącą troską ludu, wysuwającą się w dobie obecnej na czoło wszystkich innych, jest zagadnienie oświaty.

Lud ma w swoich szeregach bardzo mało inteligencji. Pragnąc swoim własnym wysiłkiem budować swą przyszłość, musi gwałtownie tworzyć własną inteligencję. Jest to zadanie nie łatwe. Inteligencji nie osiąga się bez wiedzy. Wiedzę zaś zdobywa się tylko nauką. Jak sprostać potrzebie nasycenia wiedzą tych przynajmniej jednostek spośród działaczy ludowych, które wykazują w swej pracy niepospolite zdolności i zamiłowanie do nauki? Nie widzę na razie innej rady, jak tworzenie uniwersytetów ludowych z dobrymi, inteligentnymi wykładowcami.

Nawała germańska na naszych ziemiach nie zadała żadnej warstwie ciosów tak okrutnych, jak oświatowcom polskim. Niszcząc wartości intelektualne narodu, żołdactwo niemieckie rzuciło się z jakąś dziką pasją przede wszystkim na ten niezłomowany zespół ofiarników w służbie Polski, jakim było, jest i na pewno pozostanie nauczycielstwo. Pamiętający Wrzesień kulturträgerzy pruscy zrozumieli, że największy nawet wysiłek całej rasy germańskiej nie zgasi promieni, jakie nikłe światełko lampy z chaty wiejskiej rozświetlało po zaśnieżonych równinach ziemi polskiej. Powzięli zatem szatański plan: zduszenia samego zarzewia tego światła. Więc rozpoczęli trwające lata całe masowe mordy naszych oświatowców. Liczne ich groby na ziemi rodzimej — nieprzewyciężona dziś przeszkoda w organizacji gęstej sieci placówek oświatowych. Zwłaszcza, że chodzi mi o dobór dla uniwersytetów ludowych jednostek wybitnych zarówno do kierowania tymi ważnymi placówkami, jak i do prowadzenia w nich wykładów.

Byłem przed wielu laty świadkiem prelekcji dla nauczycielstwa i działaczy wiejskich, wygłoszonej przez Józefa Stemlera — ówczesnego prezesa Polskiej Macierzy Szkolnej. Dwugodzinny jego wykład — to tysiące myśli, rzuconych do dusz i umysłów słuchaczy na całe życie. O ileż więcej dały im te dwie godziny wędrówki po hezkresach cudów, dziejących się wokół każdego człowieka — niż całe lata „państwowo-twórczych prac“ starostów! Kilka-set oczu ludzkich, rozżarzonych zaciekawieniem, utkwionych z ufnością w postać lektora, piło z jego ust najszlachetniejsze uczucia, jakimi mogą być tylko uczucia dla wiedzy!

Wracam do tematu:

Jeden uniwersytet ludowy na powiat, musi być z konieczności narazie, uznany za wystarczający. Z doskonałym za to dobo-rem sił nauczycielskich!

Uniwersytetom ludowym w pierwszym okresie ich pracy winny być postawione dwa zadania: rozszerzenie ogólnych wiadomości słuchaczy i rozbudzanie w nich zaciekawienia dla nauki, wprowadzania na drogę, którą ku osiągnięciu wykształcenia mogli by potem podążać sami.

Do zadania pierwszego należałyby: historia kraju ojczystego i państw sąsiednich; historia powszechna — z obszernym uwzględnieniem zdarzeń XX wieku; dzieje prądów politycznych w Polsce, Rosji, Niem-

zech, Francji, Anglii i we Włoszech; samorząd polski; literatura polska, polska literatura polityczna; polska myśl społeczna; prądy religijne u nas i na zachodzie; największe zdobycze wiedzy ludzkiej; należyta uprawa roli i umiejętność racjonalnego prowadzenia gospodarstwa rolnego; organizacja spółdzielczości.

Drugim zadaniem, wykonanym przez najwybitniejszych wykładowców, byłoby przystępne zapoznanie słuchaczy: z czynami i dziełami wielkich ludzi na podstawie najlepszych ich monografij; z postaciami wielkich twórców i arcydziełami piśmiennictwa naszego i obcego oraz ich znaczeniem w dziejach ludów; ze znaczeniem pracy jednostki genialnej dla układu stosunków społeczno-politycznych w państwie; z osiągnięciami jednostek wybitnych na polu samokształcenia; wreszcie z postaciami wielkich mówców i wzorami krasomówstwa.

Za dzieła wzorowe dla pewnych działów zadania drugiego, uważam prace: Stefana Zweiga o Marii-Antoninie, Marii Stuart, Tolstoju; Słiwińskiego monografie historyczne i rozprawę o Mickiewiczu; Brandesa i Maurois: o Byronie, Shelley'u, Lassalu; Kallenbacha o Mickiewiczu; Kleina o Słowackim, Levy o Nietzschem; mowy Paderewskiego, Berrye, Jauresa, Spasowicza, Plewako, Szurleya, Kazarinowa, Czerwińskiego, Rudnickiego, Andrejewskiego, Aleksandrów, Karabczewskiego (zwłaszcza mowę, wygłoszoną w obronie Sazonowa — zabójcy Plehwego) oraz mowę Aleksandrowa w obronie Wiery Zasulicz.

Nie pretenduję tu oczywiście do wyczerpania źródeł. Wymieniam jeno godne książki i przemówienia niewątpliwie godne uwagi, a myślał gorącą i szlachetną oraz jasnością ujęcia tematu niewątpliwie ułatwiająca opracowanie i nasaczenie go zaciekawiającymi zdarzeniami.

Wykłady tematów winny być jasne i — z wyjątkiem cytata — wygłaszane z pamięci. Należy się wystrzegać przeladowywania tematu! Za najlepszy trzeba uznać monograficzny sposób wykładu. Barwna opowieść o człowieku, a potem — o jego dziele, tworzy zazwyczaj całość wrażenia i pozostawia w pamięci słuchacza głębokie ślady.

W obowiązku organizacji ludowych winno leżeć zapewnienie swym działaczom możliwości przejęcia całego kursu. Kurs taki musiałby trwać co najmniej trzy miesiące.

Wypowiedziane wyżej uwagi dotyczą oczywiście pierwszego etapu pracy wśród ludu w dziedzinie oświaty i kultury na wsi. W Polsce, którą widzę dziś oczyma nadziei, oświata osiągnie najwyższy poziom — i nie będzie u nas zawodu równie uprzywilejowanego, większą otoczonego troską Państwa i społeczeństwa, niż zawód nauczyciela.

Do roku 1939-go, umiano u nas — przy ogromnym braku lokali dla szkół powszechnych — budować z pomocą państwa zbytkowne kasyna, gdzie przyjemnie tańczono i grano w karty. W nowej Polsce — jeśli byt Jej będą utrwałać ci, co Ją żywią i bronią — najpierw wznoszone będą gmachy szkolne, potem zaspakajane inne pilne potrzeby.

Lokale rozrywkowe długo zapewne oczekają na swą kolejkę.

ELEGIA

W butach podkutych gwiazd ćwiekami,
chodzi tu wieczność.
Dzwoni snami.

Odprawia nocą mszę bezkrwawą.
Na śpiących grobach
szepce trawą.

Ziemia im teraz na kształt urny.
Wieczność zamknęła
czas pochmurny.

Lecz i nas — kiedyś — wchłonie ziemia
o, bracia niemi
od cierpienia!

Na brzegu śmierci snem powita,
ta sama wieczność
w mrokach skryta.

KTO?

Oto dziś stoję jak martwy dom,
przez który przewiał ognisty wiatr.
Chcę wrócić jasność ścianom i snom,
gdy popiół czasu zaciera ślad.

Ach, trudno patrzeć, gdy oczy są
jak puste okna spalonych ścian.
I choć dno kłęski narasta mgłą,
czuję piekący ból dawnych ran.
Kto mnie na nowo nauczy słów,
by noc znać nocą, a pieśnią — światł
By wonną malwą zakwitnąć znów,
na drogach śmierci i zgłiszczach lał!

Alicja Iwańska

WSCHÓD

Na wschodzie mego życia
gwiazdy.
Wykute z żelaza,
zapalone lśniącem oddechem.

Gwiazdy — glazy.
Gwiazdziste miazgi
aureolą, uświęcają strzechy.

Mijają noc bezdomne
pełne smutku
niedoukrycia.
Słońce nie wykule jeszcze
na wschodzie
mego życia.

Błade światy twardnieją
w długie, i
żelazne
lata
i wschód mojego życia
jest
zachodem światła...

Adam Tatomin

JEST TYLKO ZIEMIA
I NIEBO

Jest tylko ziemia i niebo —
jest tylko niebiesko-zielono
i słysząc jak czas w przestrzeń
odpływa nieskończoną...

A pośród ziemi i nieba
czasu trącany podmuchaem,
wirując z liśćmi osiki
lanecznym, zielonym ruchem...

POMORZE POD OKUPACJĄ

Alojzy Janusz Markiewicz

BYŁO NAS SZESNASTU

Pędzili nas szybko przez podwórze więzienne. Jakiś strażnik otworzył drzwi z napisem: „Unreine Empfangszelle“. Pod batami wepchnięto nas do mrocznej celi. „Du Miststück, hier!“ — odłączono od naszej grupy Rosjanke. Szybko zatrzęsły się drzwi. Przez judasza wpadało wąskim snopem światło. Zgasło. To zatrzęsnięto zewnętrzne drzwi, których uprzednio nie zauważyłem. Zupełna ciemność. Powstało zamieszanie. „Ciszej, ciszej — może jeszcze wrócić“. — Ktoś zapalił zapalke: cela cementowa, pod ścianą prycza na trzy osoby, w rogu muszla ustępowa... Znów ciemność. Nas było szesnastu.

Kucnąłem na pryczy pod ścianą. Zaszleścił papier. „Kto chce zjeść kawałek chleba?“... „Może ty, Ałoś?“ — „Dziękuję, Ojciec“. — Nie jadłem wprawdzie od ubiegłego wieczora. Od niedzieli. Słychać było mlaskanie. Ja nadal nie miałem apetytu. Jedno miałem ieno pragnienie — głód słońca, głód jasności... Dom — zachodzące słońce złocił pewnie teraz drzew szczyty, na które lubiłem tak patrzeć z balkonu. A tu — ta okropna, nasiaknięta wilgocią ciemność. — Nagle ktoś krzyknął: „Uwaga“. Pierwsze drzwi otworzyły się szybko, przez judasza wpadł snop złotego światła — już zgrzytał klucz w zamku drugich drzwi. „Wstańcie“ — upomniano szeptem. Staneliśmy, jako tako. Za chwile bluznęło silnie światło dzienne i zapach odżywczego powietrza, gdy o wilgotną, cementową podłogę uderzyło coś miękko i głucho. Zamykały się drzwi. Zgrzyt klucza. Dudniące buciary żołnierskie i gwizd marsza... A z podłogi dochodził okropny, nieludzki jęk, chwilami przechodzący w ryk zmieszany z płaczem. Znów ta ciemność... Poprzez bełkot dochodzący z podłogi, wyodrębniły się dwa słowa wyraźniej: „Jezus, Maria...“. Był to głos zaledwie młodzieńca. Położyliśmy go na pryczy. „Na brzuchu“ — wyraził życzenie. „Oj, zbili mu tyłek porządnie...“. Istotnie, cały pośladek napuchł od zbitcia jak poduszka gumowa.

„Ile tobie wyspali?“ — Chłopak wybełkotał coś niewyraźnie. „Ile...“ — pytano natrętnie. „Nie męczcie go — odrzekłem — zdaje się, że powiedział: sześćdziesiąt“. „To wystarczy — przeklecie cholery...“.

Napreżonemu milczeniu towarzyszył ieno przeciągły jęk skatowanego. Nikt nie rozmawiał. Wszyscy obracali się myślami poza obrębem celi.

„Moja biedna mama. Co ona teraz robi?... Czekaj. — „Może wróca wnet“ — myśli. Każdy szmer na schodach bierze za nasze kroki. Otwiera drzwi... Biedna mama.

Jęczenie stawało się coraz głośniejsze. Ach, żeby tak te drzwi wysadzić. Tam, za drzwiami śmiejący się świat jego „panów“. Tu nasz świat — ciemności i męczarni. „Przestań wyć!“ — odezwał się ktoś z rogu. Najgłośniejsze westchnienie wyrwało się z bulgocącego gardła. Jeszcze kilka krótszych i cisza... I znów jęczenie. Za ścianą podchwyciłem jakieś szmery. Jak gdyby wodę puszczano z kranu. To dobrze. — Wprowadził ten głos coś żywego, co odwróciło myśli na chwilę.

„Dokąd idziesz?“ — Poruszyły się buty o cement podłogi. „Pić“ — brzdąkała odpowiedź. „Tu nie ma wody“, — „ja z tego...“ — „Czyś oszalał? Tyfusu dostaniesz!“

Pojąłem. Zbity chłopak miał pragnienie. Z gorączki. Podszedł do muszli kłocznej i spuszczał wodę. Pił długo... Kiedy powrócił wyciągnął się pod ścianą, opierając głowę o moje nogi.

Było mi teraz tak niewygodnie, że musiałem zejść z pryczy, aby członki nieco wyprostować. „Może ktoś zechce zapalić zapalke?“ — poprosiłem. Zegar wskazywał godzinę dziewiętnastą. Zbity chłopak przestał jęczeć. Nikt się nie odzywał. Po chwili urywane chrapanie przerwało ciszę. Nagle zerwała się kłótnia o wygodniejsze miejsce. Ucichła... Zdałem z siebie płaszcz i złożyłem go na cementcie. Położyłem się pod drzwiami. — „Chłopcze, nie zimno tobie?“ — „Nie, Ojciec“. Roztkliwiła mnie czułość mego ojca. Mimo całego naszego okropnego położenia, mimo iż zostaliśmy aresztowani jako zakładnicy, poczułem w tej chwili jakąś łzawą radość, że przecież nie jestem sam. Że mam kogoś bliższego. Najbliższego...

Nachyliłem ucho do szpary drzwi. Nad słuchiwałem — zdało mi się, jak gdybym dosłyszał głos dzwoni. Może na „Aniol Pański“.

Wtem inne głosy odwróciły moją uwagę. Za cementową ścianą dały się słyszeć jakieś hałasy, bieganie, szczekanie psów. Było w tym coś koszmarnego. Starłem się sobie jakoś wytłumaczyć to słuchowisko, ale nie mogłem. Padały jakieś komendy. Wszystko razem sprawiało wrażenie jakiegoś piekielnego tańca w zawrotnym tempie. Psy ujadają natarczywie. „Co się dzieje?“ — wszyscy poruszyli się na pryczach. „Pewnie mają apel“ — odpowiedział jakiś chrypliwy głos. „Ja już tu raz siedziałem, to wiem...“ — dodał chełpliwie. — „Apel, mówisz — to co?“ — „No, nic! Latają sobie z celi na dół i do góry — oberwią przy tym lanie i basta“. Psy wciąż ujadają i padają rozkazy.

„Jak tu duszno“ — odezwał się ktoś. Rzeczywiście, i ja także odczułem w tej chwili duszność. Cela, która była wyznaczona na trzy osoby — jak wykazywały prycze — mieściła obecnie siedemnastu ludzi. „Która godzina?“ — Potarto zapalke o pudełko. Jedna, druga, dziesiąta. Nie chciały się palić. W celi brakło już tlenu...

Odwróciłem głowę w kierunku szpary w drzwiach i wdychałem wilgotnie, ciepławe powietrze.

Mogło być no północy, gdy pierwsze drzwi otworzyły się z trzaskiem. W popłochu zerwaliśmy się. Światło latarki mazało nasze twarze. Zatrzymało się na twarzy zbitego. „Dąbrowski, rraus!“ — Skatowany chłopak potoczył się lekliwie. „Du Biest!“ — kopniakiem wypchnięto go za drzwi.

Przez tę krótką chwilę napełniła się cela czystszyim powietrzem. „Co oni mogą z nim zrobić?“ — „Bóg jeden wie“.

Próbowałem się modlić. Przypomniałem sobie hymn Kochanowskiego: „Kto się w opiekę...“.

Sen sklejał powieki, nie mogłem jednak zasnąć. Liczyłem w pamięci sekundy, minuty... Wszystko mi się pomieszało. Ciągle, powracała twarz wystraszonego chłopaka, który nazywał się Dąbrowski. Już nigdy go więcej nie zobaczylem.

Przez ścianę dochodziły jakieś niewyraźne krzyki. Wilgoć, mimo duszności przenukała do szpiku kości. Psy ujadają...

Kiedy następnym razem otworzyły się drzwi, stanął w nich na szeroko rozkraczonych nogach gestapowiec. Za nim, a szczytami zielonych drzew różowiło się słońce.

Z grymasem na twarzy spytał po niemiecku: „Ilu?“

Nas było szesnastu.

DYSKUSJE

JESZCZE O MUZYCE POLSKIEJ NA POMORZU

„W walce o nowy, lepszy typ człowieka, kulturalnie bogatszego“ — jak to napisał w ostatnim numerze „Arkony“ Jerzy Jasieński, zabiegają wszystkie dziedziny życia. Zabiega też i muzyka, której wielką rolę wychowawczą przypisują wszyscy myśliciele świata począwszy od Platona. Dobrze za tym się dzieje, jeżeli zaczynamy mówić i pisać o tej najpotężniejszej z muz.

Zdaniem Jerzego Jasieńskiego Niemiec „kulturträgerzy“ stłumili w zupełności i „złożyli do urny“ wszelkie polskie poczynania kulturalne na Pomorzu, na długo przed wojną światową, zaciążywszy na kulturalnym obliczu Pomorza, które do dziś nie potrafiło się spod tego wpływu zgnębienia wyzłocić. Czytając te słowa dojdźmy do smutnej konkluzji; nie polskość w muzyce na Pomorzu, wszędzie tylko „zglajchszaltowana“ niemiecka sztuka, lub jej ślady i pozostałości. Nieświadomy sprawy czytelnik zatrwoży się tym „opłakany“ stanem kultury muzycznej Pomorza. Czyżby istotnie „Remus nie zwyciężył Smętka“? Czyżby „Urna nie została rozbita“? Czyżby muzyka na Pomorzu szła dawnymi szlakami narzuconymi przez „Winterfeldów i pseudomuzyków“? Czyżby Pomorzanie byli tak nieczuli na muzykę polską?

Nie możemy się oprzeć chęci zabrania głosu w tej sprawie, żywo nas obchodzącej. — dla dopełnienia uwag Jerzego Jasieńskiego, dla dopowiedzenia pewnych jego przeczeń i niedomówień. Otóż — używając słów autora artykułu, nawiązujących pięknie do utworu Cl. Debussy — „urna została rozbita“. Polski ruch muzyczny na Pomorzu został wyzwolony, życie muzyczne pchnięte na drogę rozwoju po prawdziwej linii. I to dość dawno. W Bydgoszczy w r. 1927, kiedy to Zdzisław Jahnke założył Miejskie Konserwatorium Muzyczne, którego główny cel stanowiła walka z wpływami germanizacyjnymi w dziedzinie szkolnictwa muzycznego. Ile trudu, ile samozaparcia włożono w tę walkę wiedząc, którzy na tę pracę patrzyli z bliska. Jeszcze dzisiaj w pamięci mamy tradycyjne wielko-czwartkowe występy Konserwatorium. Pamiętamy koncerty, z tak wielkim trudem montowanej orkiestry symfonicznej, na której czele ostatnio, tuż przed wojną stał niezmorodowany i zawsze pełen entuzjazmu dla wszystkiego co polskie śp. mgr Alfons Rezler. Pamiętamy „Collegium Mu-

sicium“, popisy uczniów, odczyty i prelekcje na tematy muzyczne, przy zawsze pełnej sali. Ileż planów roił śp. Alfons Rezler w ostatniej rozmowie ze mną, na krótko przed swą bohaterską śmiercią żołnierza na polu chwały... Wieny również o tym, że byli równocześnie ludzie, którzy w dniach, gdy wykuwało się lepsze jutro dla muzyki polskiej w Bydgoszczy, nie uznawali tej pracy, woleli pracę dyletancką osławionych Winterfeldów.

„Urna została rozbita“, gdy na czele Konserwatorium w Toruniu stanął Piotr Perkowski, gdy pracę dyrektora Konserwatorium w Gdańsku podjął Kazimierz Witkomirski. Z jakim entuzjazmem przyjmowano w maju 1939 roku na ogólnopolskim zjeździe chórów w Bydgoszczy delegatów z Gdańska, zdających relację z ciężkiej i trudnej walki o muzykę polską na swym odcinku działania. Pamiętamy jeszcze występy chórów pomorskich i bydgoskich w zestawieniu z chórami innych dzielnic Polski i ich sukcesy na tymże zjeździe. Przecież jeszcze przed pierwszą wojną światową, na ziemiach zachodnich, na Śląsku, w Wielkopolsce i na Pomorzu powstały chóry właśnie jako samoobrona Polaków przed germanizacją. I wcale nie były „zglajchszaltowane“, — bo chyba to, że tworzyły zwartą grupę kół śpiewaczych (o jakże bogatych tradycjach!) nie świadczy o nich ujemnie?

Sprawa więc nie tak tragicznie się przedstawia, jakby można było sądzić, czytając uwagi Jerzego Jasieńskiego. Wojna ostatnia dużo zniszczyła, ale nie była tak długa, by trzeba było wszystko budować od nowa. Naszym zadaniem — kontynuować pracę niegdys zaczęta i doprowadzoną do pewnych istotnych, pozytywnych osiągnięć. Dążeniem naszym winno być dźwiganie życia muzycznego na coraz to wyższy poziom, — to nie ulega kwestii. Największe osiągnięcia powstają w ogniu dyskusji, w ogniu ścierających się poglądów, drogą nowych doświadczeń. Tu nie może chodzić o sprawy osobiste. Idzie bowiem o rzecz stokroć ważniejszą, jaką jest polska kultura muzyczna, do której swój wkład już wniosło i wnosić będzie Pomorze. Od nas samych zależy, jakiej odzwiek wywołamy wśród społeczeństwa pomorskiego, do jakich pozytywnych osiągnięć w tej dziedzinie dojdziemy.

Florjan Dąbrowski

W ODPOWIEDZI

Cieszę się, że artykuł mój nie minął bez echa. Dowodem — słowa oddźwięku w periodykach i pismach codziennych, Polskim Radio, oraz listy z Katowic, Łodzi, Krakowa, Torunia, Warszawy i Bydgoszczy. Jeszcze więcej ucieszyło mnie nadesłanie swych uwag mgr. Florjana Dąbrowskiego. Pozwól mi one na poruszenie kilku spraw, których poruszyć świadomie nie zamierzałem.

Zarzut p. Dąbrowskiego streściłbym w 3 punktach:

1) Przeczytałem pracę muzyków w Bydgoszczy od 1927 r., pracę Piotra Perkowskiego w Toruniu, Kaz. Witkomirskiego w Gdańsku.

2. Smętka nie biąka się już po drogach muzyki pomorskiej.

3) Przysłowiowa urna została rozbita — więc należy iść śladami przed wojną rozpoczętej pracy.

Ad 1) Hołd pionierom pomorskim w dziedzinie muzycznej złożyłem w inauguracyjnym numerze „Arkony“ (Nr 1-2, str. 18, kolumna druga: „Muzyka“), który p. Dąbrowski czytał. Z Piotrem Perkowskim rozmawiałem przed miesiącem w Warszawie na tematy muzyczne Pomorza i wspólnie ubolewaliśmy nad brakiem zrozumienia i ongiś i dziś istoty muzyki i metod jej realizacji wśród muzyków pomorskich, jak i u

ogółu społeczeństwa. Kaz. Witkomirski pomstował na stosunki gdańskie i twierdził, że długletnią jego pracę może butny Niemiec przekreślić w ciągu kilku miesięcy. Edmund Rezler pisał do swego brata, że dopiero po trafieniu w inne ośrodki muzyczne (rumuńskie, węgierskie) zaczął robić duże postępy w muzyce. Żałuję więc, że go między nami niema. Za pracę pionierów muzyki na Pomorzu odrzucenia jedynie skiby, n. b. bardzo urodzajnej gleby, nie przeorała zaś gruntu i nie zasiała ziarna, któreby wzeszło i owoc przyniosło, — świadczą zięjące pustkami sale koncertowe netylko w Inowrocławiu, Włocławku, czy Grudziądzu, lecz i w Bydgoszczy. Jeśli sale są pełne w Bydgoszczy, Toruniu, Sopocie i Gdańsku — śmiało rzec możemy, że 80 proc. publiczności stanowi element wpływowy.

Ad 2) Smętka nie biąka się już po drogach muzyki pomorskiej, zwyciężony oddawna przez Remusa! Ach, jakże gośiowne twierdzenie! Niemcy jedynie militarnie leżą u stóp Słowian, i to, zdaje się, nie w zupełności. Duchem i kulturą ciągną w dalszym ciągu na naszej psychę, specjalnie na psychę pomorskiej. Bo zważmy:

Starsza generacja muzyków zaboru pruskiego kształci się musiała, siłą faktu, w Berlinie, Lipsku czy Salzburgu, czerpiąc stamtąd życiodajne soki muzyczne. Wiemy również, że właśnie Niemcy, w tym okresie historii, stały kulturalnie na szczytowych pozycjach, — nie więc dziwnego, że Berlin i Lipsk przestaniły inne ośrodki muzyczne. Jak do Mekki peregrynowali do Berlina i Lipska muzycy z różnych stron Polski, po powrocie wpadając w wir słowiańszczyzny, ścierających się innych prądów. Tak było z Warszawą, która kuła własny odrębny styl, kompilowany Moskwą, Wiedniem i Paryżem. Tak było i w „Galicji“ — nastawionej na Wiedeń, — starszy, bardziej „wypróbowany“ i... „weselszy“, — przewadze serca nad pruską „głową“. Miała też „Galicja“ swój własny polski olimp krakowski i pogodny Lwów.

Muzycy pomorscy, po powrocie z ośrodków muzycznych niemieckich, nie mieli do czynienia z innymi prądami i tylko tym jednym ośrodkiem kierowali, chociaż formalnie pisali słowa i melodie polskie — to jednak materialnie zostawali ciągle w niemieckiej psychice i niemieckim entourage'u. Działo się to również i dlatego, że byli najbardziej skrepowani politycznie w porównaniu z Polakami spod innych zaborów i najmocniej odgroźeni murem granicznym od innych ośrodków polskich.

Wiemy, że po chlubnym wysiłku muzyka niemiecka zastężyła w rozwoju, nie wydając od dłuższego już czasu żadnego większego twórcy czy wirtuoza. Inne ośrodki prześcignęły ją, zdobywając prymat muzyczny, tworząc nowe style, kierunki i szkoły.

A więc życie biegnie naprzód, a z życiem sposób interpretacji, emocjonalnej wypowiedzi, technika, tempo... Parę dni temu w jubileuszowej swej prelekcji Adam Grzymała-Siedlecki opowiedział pewną anegdotę o starej Francuzce, którą zapytano, jaki król francuski był, jej zdaniem, największym i najlepszym? — „Ludwik-Filip“, odrzekła bez wahania. „Jakto“ — zdziwił się — „ten najgłupszy monarcha?“ — „Tak — odpowiedziała — miałam bowiem wówczas osiemnaście lat!“

Muzyczny Ludwik-Filip starszej generacji muzyków pomorskich pozostał dla nich najlepszy. Pozostać musiał, gdyż zaczęły zbyt silnie na ich psychice i jaźni, jak pozostał na Pomorzu w kulturze mieszkanka i stylu życia: „suesslich i genuettlich“.

Tu leży siła fatalna jednego ośrodka! Tu zwycięstwo kultury niemieckiej (a więc Smętka) nad nami. Błada nam młodym. Jeśli parzyliśmy przez przyrząd li tylko naszych ojców, gdyż podobni wówczas jesteśmy strategikom sprzed 20 lat, medykom nieznającym nowych zdobyczy medycyny, prawnikom nieznającym nowowydanych rozporządzeń, lub „ratyzbonczykom“ uparcie twierzącym, że „ich“ gregorianka jest najlepsza i jedyna. Tymczasem Solesmes podbiło już świat!

Ad 3) A więc „urna nie została jeszcze rozbita“ pomimo pionierskich wysiłków i trudów, bo najpierw w nas samych musimy urnę rozwalić przez podróż, poznawanie nowych kierunków i środowisk, mając oczy i uszy otwarte na wszystko, co dobre, racjonalne i prawdziwe (również i niemieckie).

Dla wielu Pomorzanie muzyka kończy się na Czajkowskim, Rachmaninowie, czy Albenizu. Czemu się jąda i jak Debussy'ego, Ravela, Plerne, nie mówiąc już o Strawińskim, czy Szostakowiczu, — nie wiedzą, a co z Palestrem. Panufnikiem, Perkowskim, Witkomirskim? Wszyscy przybywszy z innych ośrodków muzycznych są jednomyślni w twierdzeniu, że coś z muzyką na Pomorzu jest nie w porządku. Czyżby się zmówili?

Ciążka nas jeszcze czeka praca kolego Dąbrowski i nie tak łatwo w tym „Remus zwyciężył już Smętka!“ Co innego skiba, a co innego grunt! Lecz o tym jeszcze pogadamy.

Jerzy Jasieński.

ZAKŁADY GRAFICZNE
POD ZARZĄDEM PAŃSTWOWYM
TORUŃ, ULICA RABIAŃSKA 15

wykonywają wszelkie prace
zachodzące w zakres drukarstwa
zwykłego, litografii,
offsetu i druku anilinowego

miasta składał życzenia prez. Twardziaki, imieniem Wojewódzkiej Rady Narodowej — dr Wiechno. Prof. Jamontt odczytał adres senatu Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu. Piękną nakreśloną sylwetę pisarza dał inny toruńczyk — prof. Konrad Górski. Dyr. Al. Rodziewicz przemawiał imieniem najbliższych — ludzi teatru. Wśród wielkiej liczby depesz, nadesłanych z całej Polski wyróżniły się ujęte wierszem gratulacje Ludwika Solskiego. Odpowiedź wzruszonego Jubilata, przyjmującego słowa uznania imieniem literatury polskiej, której w ten sposób hołd złożono — pięknym akordem zakończyła uroczystość.

Prasa miejscowa i jej dodatki literackie dużo miejsca poświęciły przebiegowi uroczystości, jak i osobie i rozważaniom nad wartościami twórczości Adama Grzymały-Siedleckiego. Rozgłośnia Pomorska Polskiego Radia nadała w dniu 22.2. ze studia w Bydgoszczy drugi akt najnowszej, dotąd niewystawianej komedii Jubilata p. t. „Wesele Pani du Barry”, w formie słuchowiska w opracowaniu reżyserskim Zdz. Kunstmanna, w wykonaniu czołowych artystów pomorskich z Janiną Niczewska, Wł. Brackim i Czesławem Strzeleckim na czele.

(tom.)

Plastyka

Życie organizacyjne art.-plastyków zamieszkujących tereny Wojew. Pomorskiego krystalizowało się w formach przewidzianych uchwałami Zjazdu Plastyków w Bydgoszczy w dniu 2. grudnia 1945 r. I tak Okręg Pomorski Związku Polskich Artystów Plastyków obejmuje dwa Oddziały: Bydgoski i Toruński. W fazie organizowania się są takie ośrodki, jak: Inowrocław i Włocławek. Do zarządu Oddziału Bydgoskiego ZPAP weszli: Marian Turwid, Jadwiga Daszkiewiczowa, Tadeusz Mokrzycki, Kazimierz Borucki i Stanisław Wojewódzki.

Zarząd Oddziału Toruńskiego stanowią: Tymon Niesiołowski, Jan Wodyński, Eug. Przybył, Konrad Dargiewicz, Józef Kozłowski, Ignacy Zelek, Zygmunt Tomkiewicz i Alojzy Goss.

Oddział Toruński przygotowuje się obecnie do wystawy w okresie wielkanocnym, która będzie miała miejsce w Toruniu. Wszyscy zaś plastycy Wojew. Pomorskiego czynią przygotowania do Pierwszej Wystawy Okręgu Pomorskiego w Pomorskim Domu Sztuki w Bydgoszczy w dniu 27 kwietnia b. r. Wystawa ta pomyślana jest w ramach uroczystości związanych z 600-leciem m. Bydgoskiego. Zainicjuje ona działalność stałego pomorskiego Salonu Wystawowego.

W związku z jubileuszem stolicy Pomorza zorganizowana została w łonie Komitetu Obchodu „Sekcja Plastyczna”, której zadaniem jest czuwać nad stroną artystyczną i estetyczną uroczystości, imprez i pokazów. Z ramienia „Sekcji” ogłoszony został konkurs na arisz propagandowy, który wzbudził znaczne zainteresowanie i przyniósł w wyniku 35 projektów. Poziom nadesłanych prac jest na ogół wysoki i dobrze świadczy tak o możliwościach jak i o kulturze projektodawców. Jury konkursu przyznało pierwszą nagrodę art.-mal. A. Grabarzuwi, drugą zaś art.-mal. Kirylenko. Trzecią nagrodę wzięł J. Machnik. Z uwagi na wartościowy i interesujący w znacznej większości wypadków plon konkursu, wskazanym byłoby nadesłane projekty wystawić na widok publiczny.

W rocznicę wyzwolenia Bydgoszczy dokonano w Robotniczym Domu Kultury otwarcia wystawy grupy plastyków bydgoskich. Na tę niewielką ale interesującą ekspozycję złożyły się prace: Brzeczowski, Cichoński, Grabarza, Kirylenki, Modlibowskiego, Poznańskiego, Ruplewskiego, Skorupki, Tryblera, Wachowicza i Wasika. Dobrze się stało, że w RDK znalazł się kąciak poświęcony plastyce, gdyż cennym jest każdy świadomy wysiłek, każda próba podejmowana w imię szerzenia tak bardzo zaniedbanej kultury plastycznej.

Na odcinku walki z analfabetyzmem plastycznym regionu pomorskiego oraz na odcinku skutecznego zwalczania „pokutujących” tutaj wciąż jeszcze wpływów i sugestii niemieckiego złego smaku — poważna rola przypada tak Wydziałowi Sztuk Pięknych Uniw. im. Mikołaja Kopernika w Toruniu, jak i Szkole Sztuk Plastycznych w Bydgoszczy. Ta ostatnia, oprócz realizowania normalnego programu szkolnego — zorganizowała w swych murach publiczne kursy rysunków wieczornych oraz dwa cykle wykładów z dziedziny wiedzy o sztuce i historii sztuki, dostępne dla wszystkich. Tak kursy rysunków wieczornych, kierowane przez członków rzeczywistych Związku Polsk. Art.-Plastyków, jak i wykłady prowadzone przez historyków sztuki: prof. Jerzego Remera i mgr. Eug. Krygiera, cieszą się niezwykle dużym zainteresowaniem w szerokich kołach społeczeństwa. Akcja ta prowadzona planowo i konsekwentnie spełnić może i już częściowo spełnia ważną pracę na odcinku upowszechnienia i krzewienia kultury plastycznej.

(m)

Z Rozgłośni Bydgoskiej

„Praca reżysera w radio musi być bardzo ciekawa” — powiedziano mi już niejednokrotnie. Zawsze w takich razach przytakuje. Istotnie jest to ciekawa praca. Dla mnie napewno. Reżyser radia, które w zestawieniu z teatrem scenicznym, lub choćby „srebrnym ekranem” jest pojęciem bardzo młodym, ina przed sobą niezmiernie pole eksperymentu. Jeśli jednak mamy już o tej pracy reżyserskiej dyskutować, czyhmy to, biorąc pod rozwagę, jako podstawę warunki istniejące nie w rozgłośni, która posiada wszystko, „czego dusza zapagnie”, ale warunki takie, jakimi rozporządza nasza „z niczego powstała” Rozgłośnia Pomorska.

Jeśli pozwalam sobie o tym pisać na łamach „Arkony”, czynię to na życzenie wielu, bardzo wielu osób, które interesują się pracą reżyserską w radio i o każdej bardziej skomplikowanej audycji słuchowiskowej, zasypują mnie pytaniami: „Jak pan to zrobił? Dlaczego tak właśnie? W jaki sposób osiągnął pan ten i tamten efekt akustyczny? W jaki sposób podkłada pan muzykę z płyt pod omówiony tekst?”

Ano, robię to rozmaicie. Kieruję się różnorodnymi wnioskami, stając czasem „na głowie” w poszukiwaniu najlepszego rozwiązania zagadnień mej pracy. Otwarcie przyznaję, że nie zawsze mi się to udaje tak, jak tego pragnę. Ale zacinajmy od początku. Otrzymuję tekst audycji słuchowiskowej do wykonania. Czytam go i równocześnie zastanawiam się nad możliwościami, jakimi rozporządzam... i jakich nie posiadam. Konkretnie: potrzebna jest muzyka. Tę mam. Może to być w danym wypadku: fortepian, akordeon, kapela ludowa, skrzypce, klarnet. Mogą to być troskliwie wybrane płyty z nagraniem odpowiednich utworów. Mogę ją podłożyć pod tekst mówiony, lub nadać ją w razie potrzeby w odpowiednich miejscach przed tekstem, lub po nim. Ołówkiem robię adnotację w egzemplarzu reżyserskim. Jeśli w audycji przeważa muzyka, odbywam naradę z kierownictwem muzycznym naszej rozgłośni. Odbywamy wspólne próby z wykonawcami — bo wszakże muzyka w słuchowisku odgrywa często dominującą rolę — potrzebne są więc uwagi fachowca. No — a efekty akustyczne? Z nimi sprawa jest gorsza. Nie posiadamy płyt z nagraniami efektów akustycznych. Jakże więc „zrobić” auto? samolot? wiatr? detonację? serię wystrzałów ckm? turkot wozu jadącego przez most? —

Przed wojną reżyser radiowy wszystko to posiadał — mógł więc grymasić. Jeśli n. p. szum morza, czy też huk dział nagrany na płycie nie zadowalał go akustycznie naleźycie, szukał nowych efektów, uzyskując je innymi sposobami, które były już jego własnym wynalazkiem. Dziś wszystko jest to zmartwiłem reżysera, ale i jego radością, ilekroć uda mu się trudności przezwyciężyć.

Teatr Wyobraźni Pomorskiej Rozgłośni parę razy nadawał słuchowiska, w których „odzywał się” dźwięk lecących eskadr, pikujących bombowców. — W jednym z tych słuchowisk „samolot” uzyskaliśmy dzięki puźności, który zamieniającą skalę dźwięku, dał w instrument; w dwu innych słuchowiskach ten sam efekt bez porównania lepiej osiągnęliśmy nadając naszą własną płytę dźwiękową, na której nagraliśmy huk motoru limuzyny dyrekcyj. Zwykła fużarka za 25 złotych doskonale imitowała wiatr uderzający o szyby okien. Bezspornie udatnym eksperymentem było połączenie oryginalnej pozytywki z muzyką wykonywaną na fortepianie. W rezultacie uzyskaliśmy melodię gawota, graną na balu królewskim w słuchowisku dla dzieci. Najlepszym instrumentem nadającym się do audycji słuchowiskowych jest fortepian, jeśli oczywiście zasiądzie przy nim pianista posiadający zrozumienie pracy radiowej i talent improvisatorski; musi umieć tekst powiązać z „ad hoc” skomponowaną melodią, podcienlować go i uczynić bardziej zaciekawiającym. Oczywiście nie zawsze można posługiwać się muzyką fortepianową.

Główny ciężar pracy spoczywa jednak na barkach wykonawców słowa. Muszą być należyście dobrani głosowo — muszą tekst w zupełności opanować i muszą całkowicie podporządkować się uwagom reżysera. Na pierwszej próbie ograniczam się do minimalnych uwag orientacyjnych; mikrofonowe próby (zdaję sobie z tego w pełni sprawę), są często prawdziwą udręką dla wykonawców. Radio, bliskie teatrowi scenicznemu ma inne metody pracy; sztuka widziana ze sceny przez widza siedzącego w pierwszym rzędzie, inaczej jest widziana i słyszana przez widzów z balkonu, czy też z miejsc ostatnich.

Słuchowisko radiowe z jednakowym nasileniem docierające do uszu słuchacza w Bydgoszczy, jak w Toruniu, Nakle, Szczecinie czy w południowej Francji, jest niesamowicie sugestywne już choćby dlatego, — że jest niewidzialne. W tym cały sens i urok radia. O tym pamiętać powinien zarówno reżyser jak i wykonawca roli w słuchowisku. Dopuszczalny a nawet często konieczny na scenie patos, przed mikrofonem staje się komiczny. Nie można go uzasadnić gestami ani mimiką. Często zapomina o tym nie-

stety nawet najlepiej obeznany ze sceną słowotwórcy. Na ten temat możnaby zresztą mówić i pisać długo i szeroko.

Aktor radiowy musi przejść „radiowy chrzest”; jeśli w swej wstępnej fazie współpracy przed mikrofonem nie odrazu odnajdzie siebie — stanie się to w fazie następnej. Jak dotąd niestety nie posiadamy dostatecznej ilości wykonawców w pełni z mikrofonem wykonawców słownych w Teatrze Wyobraźni. Nie obawiamy się zresztą rzeczowej krytyki — ja sam będę zawsze dla siebie najsurowszym sędzią. Tak być powinno...

Zdzisław Kunstmann.

W pomorskiej szkole

Jednym z najpilniejszych zadań czasów obecnych jest we wszystkich dziedzinach życia usuwanie ujemnych skutków i pozostałości powojennych. Należy to również do czołowych zadań szkoły. Nietylko braki w zakresie wiedzy, szczególnie w nauce języka polskiego, historii i geografii są do usunięcia. Nie mniejsze spustoszenie spowodowała wojna w wychowaniu młodzieży; okupant wyczerpał w dusze młodzieży pomorskiej zarazki buty pruskiej, brutalności i lekceważenia wartości idealnych. Nie wszystkie poddała się temu, słabsza jednak uległa. Lata potrwają, nim ślady tego znikną.

Do likwidacji skutków wojny przystąpiły władze szkolne z całą energią. W pierwszym rzędzie w zakresie nauczania. Dla młodzieży starszej i dorosłych utworzono przyspieszone klasy gimnazjalne i licealne. W ciągu jednego roku przerabiała się program dwu lat, oczywiście z opuszczeniami i skróceniami. W Okr. Szk. Pomorskim jest takich klas 140 z 4658 uczniami. Prócz tego otwarto 5 gimnazjów i liceów ogólnokształcących dla dorosłych z 64 klasami semestralnymi i 2672 uczniami. Ogółem klas przyspieszonych jest wobec tego 204 z 7330 uczniami. Jeśli się zważy, że według normalnego programu uczy się w 235 klasach 8546 uczniów, obraz wysiłków w kierunku ułatwienia młodzieży ukończenia szkoły średniej jest aż nadto wyraźny: blisko połowa uczy się w klasach przyspieszonych.

Inny jest jeszcze odcinek, na którym tempo pracy jest przyspieszone: kształcenie nauczycieli. Braki są tu ogromne. W samym Okr. Szk. Pomorskim za mało jest przeszło 2000 nauczycieli szkół powszechnych a zapotrzebowanie będzie stale wzrastać przy realizowaniu nowego ustroju szkolnego. Kursy pedagogiczne nie mogą nadążyć w produkowaniu nauczycieli. A są to kursy skrócone, dające minimum wiadomości. Dla zdobycia kwalifikacji trzeba przejść przez zmużnającą pracę samokształceniową, — tym trudniejsza, że równoległa do pracy zawodowej.

Pomoc w pracy samokształceniowej stanowią ma „Życie Szkoły”, miesięcznik wydawany przez Wydz. Pedagog. Okr. Pom. ZNP. Pierwszy numer ukazał się w styczniu br. i poza artykułami ogólnymi zawiera obszerny dział sprawozdań. Pismo chce zwracać uwagę na najważniejsze problemy pedagogiczne oraz informować o tym, co się dzieje na odcinku wydawniczym.

Inny charakter mają „Iskierki Bydgoskie”, przeznaczone dla młodzieży szkolnej. Jakkolwiek poziom może budzić pewne zastrzeżenia, to jednak spełnia ono swe zadanie: w braku podręczników jest środkiem pomocniczym przy nauce języka polskiego i innych przedmiotów.

Wspomnieć też wypada o ankiecie, ogłoszonej na początku roku szkolnego na temat: „Moje przeżycia w czasie wojny”. Wydziałowi Pedagogicznemu, który te ankiety wśród nauczycielstwa rozpisał, chodzi o zebranie materiału, na podstawie którego można będzie opracować monografię polskiej i nauczycielstwa, scharakteryzować postawę nauczyciela wobec wojennej rzeczywistości itd. Udzielił w ankiecie nie jest masowy, jednak wpłynęło już wiele odpowiedzi. Fragmenty ogłasza się bieżąco w „Życiu Szkoły”.

Trudności, z którymi boryka się nauczyciel są niewspółmiernie wielkie do zapasów energii, którą dysponuje. Badania lekarskie stwierdzają zastraszającą wielką ilość gruźlicy otwartej wśród nauczycielstwa. Mimo wszystko — wyniki prac na każdym kroku znaczne. Wythumaczyć to można jedynie entuzjazmem.

St. Nowaczyk.

OD ADMINISTRACJI ARKONY

Zawiadamiamy naszych czytelników, że ARKONĘ można zaprenumerować bezpośrednio w administracji pisma. W tym celu wystarczy wpłacić na konto PKO Bydgoszcz Nr VII 271 odpowiednią kwotę, podając swój dokładny adres.

Warunki prenumeraty są następujące:
Prenumerata kwartalna — 30 zł
Prenumerata półroczna — 60 zł
Numer pojedynczy pisma w sprzedaży kosztuje 10 zł.

Administracja posiada jeszcze w zapasie pewną ograniczoną ilość numerów ubiegłych, 1 — 4, które na żądanie, po wpłaceniu należności na nasze konto może przelać.

Ruch kulturalny

Sądząc po ilości wykładów publicznych Toruń zabrał się energicznie do odrabiania zaległości. Po sześciu latach posuchy, kiedy mowa polska żyła jedynie w ukryciu, głód żywego słowa znalazł wreszcie zaspokojenie. Odbывают się cykle wykładów, a dobra frekwencja — bywają i nadkomplety — jest dowodem ogólnego zainteresowania problemami kultury.

Na czoło wysuwają się Powszechne Wykłady Uniwersyteckie, zorganizowane z ramienia Uniwersytetu pod kierownictwem prof. dr. Passendorfera. Periodycznie w poniedziałki i środy zapelnia się aula Uniwersytetu publicznością. Poważny odsetek słuchaczy stanowią młodzież szkół różnego typu. Wykłady, aczkolwiek ujęte w tonie popularnym, mają oczywiście odpowiedni poziom naukowy; w doborze tematów widać troskę o danie podstaw, na których można budować trwałe gmachy kultury.

Odkrywamy w gronie naszych profesorów doskonałych popularyzatorów wiedzy. Czy prof. Dzwulski będzie mówił o układzie heliocentrycznym Kopernika, czy też prof. Iwanowska o budowie gwiazd lub prof. Srebrny o filologii klasycznej — każdy z wykładów ujmie słuchaczy piękną formą i bogactwem treści. Tak promieniuje nasza Wszechnica także na sfery pozauwersyteckie.

Związek Nauczycielstwa Polskiego w dalszym ciągu prowadzi cykl wykładów ogólnokształcących, rozpoczęty w jesieni ub. r. i cieszący się dużym powodzeniem. Ostatnio podjął podobną inicjatywę Dom Żołnierza, organizując dla korpusu oficerskiego garnizonu toruńskiego Uniwersytet Żołnierski. Autor niniejszych uwag rozpoczął 5 lutego serię wykładów o Toruniu średniowiecznym, ze specjalnym uwzględnieniem rozwoju twierdzy toruńskiej. Dalszy program przewiduje, poza „cyklem toruńskim”, wykłady z dziedziny historii sztuki (prof. Dargiewicz), geografii i innych nauk.

Dla ściślejszego grona fachowców są przeznaczane wieczory odczytowe i dyskusyjne w naszych zrzeszeniach naukowych. Tow. Historyczne, Tow. Przyrodników im. Kopernika, Tow. Ludoznawcze stawiające pierwsze kroki), Tow. Naukowe o pięknych tradycjach, Zw. Zaw. Bibliotekarzy, Tow. Bibliofilów im. Lewela — każde w swym zakresie obławia działalność obojętną nie na efekt chwilowy, lecz sięgającą w głąb, ku pogłębieniu kultury naukowej i o celach programowych.

Ze takie referaty mogą być podane w formie lekkiej, a nawet dowcipnej, tego dał przykład dyr. Bibl. Uniw. dr. Burhardt, mówiąc w Zw. Bibliotekarzy o swej wyprawie do Pesna, do zamku Puttkamerów — Podkomorskich. Wyprawa miała na celu ratowanie dla Torunia zbiorów bibliotecznych, zwiezionych przez Niemców z różnych stron na Pomorze Zachodnie, — i była nader owocna, jako pierwszy najważniejszy etap w tworzeniu naszej Biblioteki Uniwersyteckiej.

Pokrewny temat poruszył mgr A. Bukowski, opowiadając o swych podróżach do Szczecina i Koszalina na zebraniu Tow. Bibliofilów, które założone „niegdyś przez śp. dyr. Mocarskiego, obecnie stara się nawrócić do dawnych tradycji szerzenia kultu pięknej książki.

Tow. Naukowe, spoglądające już na 70 lat pracy dla nauki polskiej, objawia żywotność wcale nie licującą z jego sędziwym wiekiem. Poszczególne Wydziały Tow-a pracują z zdwojoną energią nad odrobieniem czasu straconego. Siłą rzeczy przoduje Wydz. Hist.-archeologiczny, od czasów ks. Kujota najruchliwszy Wydział Towarzystwa. Stycziowe posiedzenie Wydziału, z referatem prof. Konrada Górskiego o stanie badań historycznych nad przeszłością Pomorza na nowo potwierdziło tę opinię już od dawna ustaloną.

Z wyjątkiem Tow. Naukowego, które posiada własną siedzibę, reszta zrzeszeń kulturalnych, artystycznych i naukowych należy do rzeczy ludzi bezdomnych, tutajających się po różnych kątach miasta. Ten stan rzeczy, kompromitujący dla Torunia, ulegnie zmianie, o ile postulaty zebrania z dnia 15 lutego w sprawie stworzenia na miejscu Domu Sztuki i Nauki wejdą na drogę realizacji. Dobór osób, wybranych do komitetu organizacyjnego i wykonawczego, rokuje najlepsze nadzieje. Są więc widoki, że Toruń zyska niebawem, obok Robotniczego Domu Kultury (w Dworze Artusa), odpowiednie pomieszczenie dla licznych stowarzyszeń artystyczno-literackich i naukowych.

Marian Sydow.

Muzyka

W ostatnim okresie sprawozdawczym jedynie na polu odtworzenia muzyki symfonicznej panował żywy ruch. Orkiestra symfon. oddziału toruńskiego Związku Zaw. Muzyków wykonała na koncercie w dniu 27. I. 48. pod dyr. prof.

Stefana i symfonię Beethovena, koncert fortepianowy e-moll Chopina oraz muzykę baletową z „Fausta” Gounoda. Koncert ten wypadł bardzo dobrze i przyniósł duży sukces dyrygentowi i wykonawcom. Solistka, Olga Sliwicka, pokazała grę wysokiej klasy zarówno pod względem technicznym, jako też interpretacyjnym i została przez publiczność przyjęta ze szczerą a dobrze zasłużonym uznaniem. Poza tym orkiestra wykonała wraz z solistką, pod tąże dyrykcją I część koncertu e-moll Chopina na akademii urzędowej w dniu 2 lutego z okazji rocznicy wyzwolenia Torunia spod okupacji niemieckiej. Dalsze występy orkiestry, to koncert popularny pod dyr. prof. Morzykowskiego w dniu 3. II. w sali Domu Żołnierza oraz urządzony tamże w dniu 17. II. koncert popularny dla wojska i publiczności cywilnej. Solistami byli: tenor Suchodolski oraz młoda adeptka śpiewu, Irena Nawrotówna, sopran kolo-raturowy.

W dalszym ciągu odczuwamy brak występów solistów i zespołów kameralnych.

Pozostałe sektory publicznego ruchu muzycznego w Toruniu nie przejawiały ostatnio większej żywotności.

Instytut Muzyczny, kierowany sprężysto i umiejętnie przez dyr. J. Kurpisz-Stefanowa wykazuje stały rozwój. Lista uczni wynosi już około 400. Najbardziej obsadzoną jest nadal klasa fortepianu; obecnie jednak już z zadowoleniem stwierdzamy wzmocnienie klas instrumentów dętych i wiolonczeli.

Pomorskie Towarzystwo Muzyczne, reaktywowane po przerwie wojennej jesienią ub. roku, nie wykazywało dotychczas prawie żadnej działalności. Na dzień 8 marca br. projektuje ono uroczysty koncert inauguracyjny, który oby stał się hasłem do dalszych imprez publicznych tej organizacji, której zakres i możliwości działalności społeczno-artystycznej jest ogromny. W bież. roku P. T. M. obchodzić będzie 25-lecie swego istnienia.

Śpiewactwo nasze znajduje się niestety wciąż jeszcze w początkowej fazie organizacji. Pomimo bardzo intensywnej i na innych polach owocnej pracy (o czym niebawem napiszemy przy innej okazji) Zarządu Głównego Pom. Związku Śpiewaczego, mającego swą siedzibę w Toruniu, nie udało się w mieście naszym wskrzesić dawnych, przedwojennych zespołów śpiewaczych. Powstały natomiast dwa nowe zespoły. Obok Chóru Rzemieślniczego, działającego już od szeregu miesięcy, powstał ostatnio przy Uniwersytecie i żywo pracuje pod dyrykcją Kl. Krajewskiego Chór Akademicki.

Na zebraniu toruńskich organizacji naukowych i artystycznych w sprawie utworzenia Domu Sztuki w dniu 15 lutego sfery muzyczne naszego miasta wysunęły pod adresem miejskich czynników miarodajnych m. in. uzasadniony wniosek o poparcie i większe zainteresowanie się sprawami muzycznymi Torunia.

Instytut Muzyczny zorganizował późną jesienią akcję audycji muzycznych dla szkół toruńskich. Praca na tym bardzo ważnym odcinku kształcenia muzycznego weszła już na dobre tory. Odkąd jednak organizacja audycji przeszła w ręce Dyrekcji Pomorskiej Biura Koncertowego Związku Zaw. Muzyków w Bydgoszczy, praca ta ustała i toruńska młodzież szkolna, co z załem musimy stwierdzić, daremnie czeka na audycje szkolne. Sprawę tę należy czym prędzej załatwić i wyraźnie ustaliwszy kompetencje i obowiązki organizatorów tych imprez artystyczno-wychowawczych — przystąpić do dalszej działalności.

Wspomnieć wreszcie należy jeszcze o produkcjach naszych artystów, którzy występują w części muzycznej wieczorów czwartkowych Klubu Literacko-Artystycznego. Niestety muzyka na tych imprezach jest nadal po macoszemu traktowana, choć podjęto już w swoim czasie na skutek interwencji sfer muzycznych próby naprawiania tego stanu rzeczy. Produkcje muzyczne na wieczorach czwartkowych są przeważnie tylko młym zakończeniem wieczorów, dodanym dla urozmaicenia tychże, względnie dla odprężenia umysłów słuchaczy, zmęczonych dłuższą prelekcją.

Leon Witkowski.

Z działalności
Towarzystwa Naukowego
w Toruniu

Po sześciu latach przerwy Towarzystwo Naukowe w Toruniu odbyło w d. 12 czerwca 1945 r. pierwsze posiedzenie. W tym samym dniu dokonano przeglądu strat i uczczono pamięć prezesa T-wa, ks. prał. Alfonsa Mańkowskiego, zamordowanego w r. 1941 w obozie koncentracyjnym w Stutthofie. Obraz jego życia i działalności naukowej przedstawił wice-prezes, ks. prał. Paweł Czaplewski. Opracowanie to wraz z bibliografią prac Zmarłego ukaże się w drukującym się obecnie zeszycie „Zapisek”.

W latach 1938 — 1945 odeszli na zawsze członkowie honorowi: prof. dr Bronisław Dembiński, dyr. Stefan Demby, ks. prał. A. Mańkowski;

członkowie dożywotni: ks. biskup Stan. Okoniewski, Jerzy Ślaski oraz 56 członków zwyczajnych, wśród których szczególnie bolesną jest śmierć Zygmunta Mocarskiego, długoletniego sekretarza T-wa oraz dyrektora Książnicy Miejskiej im. Kopernika. Straty wynoszą ok. jedną trzecią ogółu członków z roku 1939. Straty materialne w gotówce, inwentarzu i wydawnictwach — prócz strat w zbiorach muzealnych — wynoszą około 30.000 zł. wartości przedwojennej. Większość wydawnictw oraz archiwum i biblioteka szczęśliwie ocalały.

Walne zebranie, poprzedzone mszą św. na intencję zmarłych członków, odbyło się 17 lipca 1945. Wybrano następujący zarząd: prezes — ks. prał. Paweł Czaplewski, w-przes — syndyk Sylwester Tomaszewski, sekretarz generalny — dyr. archiwum miejskiego Helena Piskorska, skarbnik — mgr Andrzej Bukowski, członkowie zarządu — ks. dr Władysław Łęga i dr Stefan Burhardt. Komisję redakcyjną stanowią: ks. prał. Czaplewski, ks. dr Łęga, mgr. Bukowski. Kuratorem Książnicy Miejskiej z ramienia T-wa został ks. prał. dr Franciszek Jank. Na skutek późniejszej rezygnacji syndyka Tomaszewskiego dookopowano na jego miejsce prof. dra Konrada Górskiego, by poprzez jego osobę włączyć do współpracy profesorów Uniwersytetu Mikołaja Kopernika.

Na wymienionym walnym zebraniu ks. prał. Czaplewski odczytał fragmenty swej pracy zatytułowanej: „Studia nad regestrem Dagome judex”, bardzo aktualnej ze względu na powrót Polski nad Odrę. Ukaże się ona w najbliższym roczniku T-wa. Jej streszczenie pt. „Granica zachodnia Pomorza pod koniec X wieku” znajduje się w numerze 8 „Komunikatów” Wydziału Pomorzoznawczego Instytutu Bałtyckiego. Na posiedzeniu Wydziału Historyczno-Archeologicznego w d. 2 października 1945 mgr A. Bukowski wygłosił referat pt. „Charakter mieszkanców Pomorza w świetle historii”. W zebraniu wzięli udział członkowie senatu akademickiego z rektorem prof. dr. Ludwikiem Kolankowskim na czele. W miesiąc później, 13 listopada, Towarzystwo Naukowe uczciło uroczystym publicznym zebraniem sebną rocznicę urodzin ks. Stanisława Kujota, znakomitego historyka pomorskiego i zasłużonego prezesa w latach 1893 — 1914. W programie uroczystości był odczyt ks. prał. Czaplewskiego m. t. życia, prac i zasług ks. Kujota oraz recytacje fragmentów z jego dzieł historycznych i utworów powieściowych w wykonaniu H. Piskorskiej i A. Bukowskiego.

Zasługi ks. Kujota w historiografii pomorskiej podkreślił także prof. dr Karol Górski, kiedy 22 stycznia br. omawiał na posiedzeniu Wydziału Historyczno-Archeologicznego „Stan badań historycznych nad przeszłością Pomorza”. Sensem tego wykładu i żywej po nim dyskusji było wykazanie najpilniejszych potrzeb w zakresie nauki historycznej o Pomorzu. W wyniku obrad wskazano na konieczność zorganizowania zjazdu pomorzoznawczego, który by zajął się rozplanowaniem prac naukowych i podziałem zadań pomiędzy istniejące Instytuty i Towarzystwa Naukowe; postanowiono dalej powołać komisję archiwalną dla zabezpieczenia starych zbiorów i ratowania dokumentów chwili, które niedoceniane obecnie, stana się w przyszłości pierwszorzędnymi źródłami historycznymi.

Dwudziesty lutego, jako dzień urodzin Mikołaja Kopernika, stanowią tradycyjnie doroczne święto T-wa Naukowego w Toruniu. Ten piękny zwyczaj obecnie po przerwie wojennej wznowiono. Wieczorem tego dnia pomnik astronomia przed starym ratuszem znalazł się w efektywnej iluminacji. W ramach programu uroczystości — prócz nabożeństwa, zebrania zarządu i walnego zebrania sprawozdawczego — odbyło się publiczne posiedzenie w auli Uniwersytetu, na którym prezes, ks. prał. Czaplewski, nawiązał do smutnego faktu, że przedwojenne przygotowanie nauki polskiej do uczczenia 400-iej rocznicy śmierci Kopernika, przypadającej na rok 1943, nie mogły być urzeczywistnione z powodu najazdu wroga, że wobec tego obecnie zachodzi potrzeba wznowienia badań nad wciąż żywą postacią genialnego toruńczyka.

Po tym wstępie prezes w treściwym wykładzie zaznajomił licznie zebranych słuchaczy z wynikami swych badań nad „pochodzeniem drobnej szlachty kaszubskiej”, rozwinął mianowicie tezę, że szlachta ta znalazła się na Pomorzu Gdańskim głównie w XIII w. na skutek emigracji z Pomorza Zachodniego, które znalazło się wówczas pod silną presją germanizacyjną.

Dodać jeszcze należy, że do wznowienia prac przystąpiły także dwa następne Wydziały T-wa, mianowicie Matematyczno-Przyrodniczy i Prawniczy. Ożywienie działalności w ostatnim czasie T-wo zawdzięcza przede wszystkim profesorom Uniwersytetu. Na walnym zebraniu w 19 lutego br. dookopowano dwóch nowych członków zarządu: prof. dr. Dzwulskiego na miejsce ustępującego ks. dr. Łęgi) oraz prof. dr. Wyszynskiego.

Andrzej Bukowski.



ST. BRZĘCZKOWSKI

DRZEWORYT

WYBRZEŻE

Z teatru i sali koncertowej

Na płaskach gdynskich urósił się przed wojną, w ciągu kilkunastu lat, wspaniały, wielki port, jednak w znaczeniu kulturalnym płaski pozostał. Życie kulturalne przedwojennego Wybrzeża było chude, nędzne, niemal niedostrzegalne. Wojna zmieniła tu wiele w sposób zasadniczy.

Przed wszystkim: Gdynia posiada teatr. Podstawową trudnością przedwojenną — brak odpowiedniego gmachu usunęli Niemcy, budując w pobliżu morza przy ul. Kwiatkowskiego wielki budynek, z wyglądu podobny raczej do szopy lub stodoły, przeznaczony zapewne do masówek partyjnych. Zbyt długi, jak na teatr budynek ma tę zaletę, że... posiada scenę i widownię. Dla pionierów kulturalnych starczyło to, by uczynić zeń siedzibę teatru.

Historia tego teatru, który jest teatrem Miejskim, rozpoczęła się w listopadzie ubiegłego roku, kiedy dyrekcję objęła p. Hatacinska, reżyserię zaś Wanda Jarszewska. Duży wkład organizacyjny i mrocząca praca reżysera dały wyniki doskonałe. Młody zespół teatralny, odczoły i entuzjastycznie nastawiony do pracy aktorskiej, może poszczycić się wyborynymi wynikami.

Urozmaicony repertuar teatru z ostatnich trzech miesięcy pracy przynosi szereg utworów, powtarzających się ostatnio w repertuarze prawie wszystkich scen polskich. Sztuką inauguracyjną była „Moralność pani Dulskiej” — po niej wystawiono „Roxy” Huxleya, Perzyńskiego „Szczęście Franja”, „Subkokatorkę” A. Grzymały-Siedleckiego, „Mature” Fodora i wreszcie ukoronowanie repertuaru — „Śluby Panieńskie” Fredry.

Gdynia polubiła swój teatr. Świadczy o tym najlepiej przepelniona nawet wtedy widownia, kiedy do wielkiej, trudno dającej się ogrzać sali teatru wdzierał się z pobliskiego morza mroźny, zimny wicher.

Inaczej w teatrze sopockim, szumnie nieco zwącym się „teatrem dramatycznym woj. gdańskiego”. Sala niewielka, wygodna, ciepła. Mimo dobre warunki pracował raczej skokami. „Jutro” Conrada, wystawione dość nieświetlnie — i przerwa, długa przerwa. Teatr ocknął się gdzieś w styczniu, kiedy rozpoczęto normalną pracę. Wystawiono „Powrót mamy” Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej, następnie „Ich czworo” Zapolskiej. Lepszy okres zapowiada się od chwili obecnej wystawieniem sztuki Benedettiego „Szkariatne róże”, opracowanej i wystawionej starannie.

Od wypadku do wypadku daje znać o sobie również gdąński „Teatr Marynarki Wojennej”. Po inauguracyjnych „Jeńcach” Rydla i licznych

zmianach organizacyjnych wystawiono „Podwójną buchalterię” Hemara, ostatnio zaś widowisko słowno-muzyczne — „Grunt to morze”.

Dualizm sopocko-gdynski ma swój wyraz również w życiu muzycznym Wybrzeża, tylko, że stosunek jest odwrotny. Prym wodzi Sopot, który szczyli się posiadaniem słynnej już w Polsce „Filharmonii Bałtyckiej”. Daje ona co pewien czas wielkie koncerty symfoniczne z udziałem najwybitniejszych solistów. Wybrzeża styszało już Dubiśką, dwukrotnie Szpinałskiego, Stanisławicza i inn. Dyryguje najczęściej dyrygent Filharmonii Bohdan Wodiczko.

Ważniejszym wydarzeniem był niedawny koncert muzyki rosyjskiej, która reprezentował Czajkowski „symfonia patetyczną”, dalej Czaczaturian koncertem fortepianowym w wykonaniu Szpinałskiego i inn. Dyrygował Zbigniew Turski, dyrektor orkiestry. Orkiestra z jednakowym programem występuje kolejno w trzech miastach Wybrzeża — Sopocie, Wrzeszczu i Gdyni, ostatnio zaś nawet w Szczecinie. Jedną z największych bolączek orkiestry stanowi brak lokomocji, która umożliwiłaby Filharmonii wypady do miast dalej położonych.

Orkiestrę symfoniczną (miejską) posiada i Gdynia. Mimo, iż ten zespół orkiestrowy nie jest zespołem zawodowym, a członkowie jego zarabiają jako muzycy w różny sposób, miejska orkiestra symfoniczna w Gdyni, pracująca pod kierownictwem kapelmistrza Lewandowskiego, osiągnęła dobry poziom artystyczny, poziom wykazujący tendencję stałego wznoszenia się. Orkiestra ta, dająca w repertuarze utwory symfoniczne o charakterze lepszym, w ten sposób pełni rolę popularyzatora muzyki. Dążeniem Wydziału Kultury i Sztuki Zarządu Miejskiego w Gdyni, któremu orkiestra podlega, jest dostarczyć orkiestry do szerokiego mas robotniczych, zamieszkałych na przedmieściach Gdyni.

A. K. Męclewski.

Wśród artystów

Na Wybrzeżu Związek Polskich Artystów Plastyków już od kilku miesięcy podjął zryw akcji organizacyjnej. W chwili obecnej skupia on około 60-ciu członków; z tej liczby dziesięciu należy do Rady Artystycznej. Zarząd Okręgu Nadmorskiego ZPAP znajduje się w Sopocie. Wszystkie przejawy życia artystycznego przechodzą stopniowo „pod zarząd” Związku a więc w ręce samych artystów, którzy współpracują z Ministerstwem Kultury i Sztuki. Obok troski o warunki egzystencji i pracy członków, dba Związek przede wszystkim o poziom pracy artystycznej członków i to jest jego głównym i najważniejszym zadaniem. Okręg nasz obejmuje całe Wybrzeże.

Zarząd Okręgu przygotowuje szereg poważnych imprez. I tak projektuje się „Wystawę Wiosenną Plastyków” całego Wybrzeża, następnie Ogólnopolski Salon Letni w ramach festiwalu sztuki, oraz „Wystawę Jesienną”, jako trzy zasadnicze imprezy dla Wybrzeża, obok których będą wystawy indywidualne. W planie jest utworzenie wzdłuż całego Wybrzeża placówek pracy dla artystów z całej Polski, na których artyści otrzymaliby możliwie jak najkorzystniejsze warunki dla swych plenerowych studiów nadmorskich w okresie lata, albowiem obraz Wybrzeża oglądany oczami artystów z prawdziwego zdarzenia, będzie najlepszą i najpiękniejszą jego propagandą.

Ale są i niedomagania w życiu związkowców. Praca artysty, podobnie jak praca naukowa, wymaga atmosfery niezamąconej ciszy, w której znalazłby się czas na codzienną kontemplację. Najlepsze nawet zanępkowanie, troski i przeszkody macą jasność myśli twórczej, a ręka artysty notuje nietylko pozytywne przeżycia, ale i wszelkie destrukttywne. A że naogół o tym zapomina się, że artystom zbyt mało się pomaga, dowodzi choćby ten fakt, że w licznych wypadkach nie posiadają oni najelementarniejszych warunków do pracy, t. zn. obszernych, jasnych pracowni. Pracują niestety w ciasnych, ciemnych izbach, pracują w ciszy, w opuszczeniu i zapomnieniu, nie posiadając praw zwyczajnych robotników czy pracowników administracji państwowej. Artyści w znacznej mierze zjeżdżają na Wybrzeże, by na ziemiach, na których Niemcy przez długie lata tępli wszelkie przejawy polskości, krzawić artystyczne wartości narodu. Trzeba zatem, by uzyskali warunki odpowiednie dla ich odpowiedzialnej i niełatwej pracy, tym bardziej, że w myśl wypowiedzi przedstawicieli naszego Rządu sztuka zajmuje jedno z naczelnich miejsc w hierarchii potrzeb państwa.

WEJHEROWO

Po kongresie kaszubskim

W dniach 12 i 13 stycznia 1946 r. odbył się w Wejherowie Kongres Kaszubski, który — co z naciskiem trzeba stwierdzić — był zewnątrz i na wewnątrz, szczególnie zaś na zewnątrz, im-

preza udana i efektywna. Zgromadził on przedstawicieli władz samorządowych, państwowych z m.in. Stefanem Matuszewskim na czele, wielu działaczy kaszubskich oraz liczną rzeszę Kaszubów z miasteczek i wsi. W swojej istocie, była to manifestacja dziejowej roli Kaszubów, ich wartości regionalnych oraz woli mierzącej do twórczej pracy na wszystkich odcinkach życia, przede wszystkim w dziedzinie kulturalnej.

Program, przeciążony raczej niż jałowy, zawierał obok zebrań plenarnych i sekcyjnych dwie wieczornice o charakterze artystycznym. Na pierwszym przyjęmą atrakcją stanowią tańce kaszubskie „dżek”, „szewc”, „koseder” i „hoci” (haki), wykonane w strojach ludowych przez zespoły kościński i gniezdziński. Należy żałować, że tańce te za mało dotąd zostały spopularyzowane, zawierają bowiem takie walory, iż mogą z powodzeniem wejść do ogólnopolskiego repertuaru tańców ludowych. Widzieliśmy także na tej wieczornicy sztukę Bernarda Sychty p. t. „Dzewca i mjedza”, odegraną przez zespół wiejski z Gościcina. Zastąpił przed wojną „Teatr Kaszubski im. Derdowskiego” w Wejherowie z pobudek ideowych — jak mnie informowano — nie wziął udziału w Kongresie. Szkoda! Sztuka zdolnego dramaturga niewątpliwie ogromnie by zyskała przez uniejętną reżyserię i grę. Ale i w tej postaci, w jakiej została przedstawiona, spotkała się z żywym aplauzem ze strony publiczności.

Na drugiej wieczornicy, poświęconej głównie zasłużonym literatom kaszubskim, punktami atrakcyjnymi były: występ wokali wróżącej piękną przyszłość, uzdolnionej młodej śpiewaczki kaszubskiej, Ireny Jesiakówny, oraz występ chóru św. Cecylii z Kościierzyny pod batutą Lubomira Szopńskiego, dyrygenta i autora wykonanych utworów. Miło tu stwierdzić, że małe miasteczka kaszubskie nie są pozbawione ludzi zdolnych, ambitnych i aktywnych na polu społeczno-kulturalnym.

Główną część programu tej drugiej wieczornicy stanowiły recytacje utworów pisarzy kaszubskich w wykonaniu po większej części młodego poety, Jana Rompskiego. Jest rzeczą znaną, że poeci przeważnie nie są dobrymi recytatorami. Potwierdzenie tej opinii mieliśmy i w tym wypadku. Utwory pisarzy, ku czci których były ogłoszone, nie zostały ukazane w ich istotnej treści i formie.

Wśród wielu punktów programu wyczuwało się na Kongresie brak spotkania działaczy kaszubskich w ścisłym gronie. Jak dotąd, nie reprezentują oni jeszcze jednolitego frontu, spotkanie zaś z pewnością przyczyniłoby się do usunięcia tych oporów, które jeszcze istnieją i hamują pełny rozkwit regionalizmu kaszubskiego. Jazd kartuski, o którym „Arkona” donosiła w numerze 1/2, dowiódł, że szczerza wymiana poglądów rozwlewa uprzedzenia, że więc jest czynnikiem jednoczącym i twórczym. Wprawdzie i kongres wejherowski wniósł do wewnętrznego życia Kaszubów wiele pozytywnych wartości, nie osiągnął jednak wszystkich pokładanych w nim nadziei: stał się tylko dalszym etapem — jak się spodziewamy — na drodze do pełnego zjednoczenia oraz do skryształowania ideał, dostosowanej do obecnej chwili dziejowej.

Andrzej Bukowski.

SŁUPSK

Pierwsze kroki pracy kulturalnej

O położonym 115 km od Gdyni na linii kolejowej Szczecin—Gdynia mieście zieleni i ogrodów, Słupsku — wiemy na ogół niewiele. Interesował się nim przeważnie dotąd „szabrownicy”, którzy tu z całej Polski zjeżdżali.

Słupsk, po niemiecku Stolp, był często przed wojną nazywany „klein Paris”. Czy nazwa ta była słuszna, trudno jest dziś ocenić, bo tempo dzisiejszego życia w niczym nie przypomina tego, co sobie przeciętny śmiertelnik pod słowem Paryż wyobraża. Ponieważ społeczeństwo nasze nie składa się tylko z samych „szabrowników” i ludzi, którzy na nasze tereny odzyskane patrzą li tylko z punktu widzenia tego, co tam korzystnie nabyć można, nie od rzeczy będzie wspomnieć pokrótce o małym może aktualnej, ale za to jak bardzo ważnej dla ugruntowania na tych terenach prawdziwej polskości — dziedzinie t. j. o sprawach kulturalnych.

Od września ub. r. istnieje w Słupsku Miejska Rada Kultury, która wyłoniona z kolei szeregu komisji: Teatralna, Prasowa, Badań Słowińskich i Domu Kultury — będących komórkami wykonawczymi życia kulturalnego. Komisja Teatralna czyni starania o umieszczenie tu tejszego teatru, a obecny zespół występuje już pod egidą Miejskiej Rady Kultury. Rada wystosowała do Ministerstwa Kultury i Sztuki memoriał o przeniesienie do Słupska jednej ze Szkół Dramatycznych z centralnej Polski, co ze względu na możliwość zapewnienia pomieszczeń dla samej szkoły, jak i dla jej słuchaczy, spotka się zapewne z przychylnym przyjęciem. Z drugiej zaś strony przyczyni się wydatnie do

podniesienia poziomu artystycznego naszego miasta. Poza tym w Łodzi organizuje się już zespół, który w niedalekiej przyszłości ma przybyć tu na stałe.

Komisja Prasowa opracowuje szereg wydawnictw o Słupsku, między innymi wydała ostatnio wykaz alfabetyczny spolszczonych ulic.

Komisja Badań Słowiańskich objęła Muzeum (właściwie jego szczytki) i zajmuje się sprowadzaniem zabytków do powiatu. Nadmienić tu wypada, że coraz częściej napotkać tu można namacalne ślady słowiańszczyzny.

Wreszcie ostatnia komisja dla spraw Domu Kultury może się pochwalić ważnym osiągnięciem: „Dom” uruchomiony będzie jeszcze w ciągu bieżącego miesiąca w przydzielonym już na ten cel pięknym i obszernym lokalu przy Al. Półpawskiego 18.

Miejska Rada Kultury, pozostająca pod przewodnictwem prezesa sądu, ob. Tadeusza Kamieńskiego, jednocy w swym gronie wszystkie organizacje i urzędy: Urząd Inf. i Propag., Zw. Naucz. Polskiego, Zw. Pracown. Samorząd., Polpress, T. U. R., wszystkie stronnictwa, Polski Zw. Zachodni, Tymcz. Zarz. Państw., Ligę Morską, Związek Harcerstwa Polskiego, no i nie wolno zapomnieć o bardzo czynnym i całą duszą utrwalań tu polskości oddanym ks. prob. J. Zieji.

Na terenie miasta czynne są 3 szkoły powszechne, jedno przedszkole, 2 gimnazja i liceum państwowe. Ilość dzieci i młodzieży szkolnej, uczęszczającej do szkół w Słupsku wynosi 1100. W najbliższym czasie rozpocznie swą działalność Uniwersytet Powszechny. W studium organizacji znajduje się Liceum Pedagogiczne z internatem dla kursistów. Budżet szkolnictwa wyraża się cyfrą 1.200.000 zł.

Biblioteka Miejska w Słupsku do dnia 1 lipca 1945 r. znajdowała się jeszcze pod kierownictwem niemieckim. Była ona (po Szczecinie zdaje się) największą i najbogatszą na Pomorzu Zachodnim. Mieściła w specjalnie do tego celu przystosowanym lokalu i zawiera wiele cennych i rzadkich dzieł, niestety w językach obcych, więc przede wszystkim w językach niemieckim, ponadto francuskim i angielskim. Skatalogowanych zostało dotychczas 18.000 tomów, nieskatalogowanych jest jeszcze około 7.000. Znajdują się tu również bezcenne wprost dzieła z XVI i XVII wieku oraz rękopisy, stanowiące bardzo ciekawy materiał dla znawców. Jedyne książki w języku polskim, jakie tu się znajdowały, to słownik języka pomorskiego czyli kaszubskiego w opracowaniu Stefana Ramuła, wydany w roku 1893 w Krakowie i Rocznik Towarzystwa Naukowego w Toruniu z 1928 i 1930 roku, poświęcony wyłącznie Pomorzu. Osobno wydzielone zostały w księgozbiórze książki propagandowe, które złożono w t. zw. „Giftkammer” — „pokoju truciźn”.

Zrozumiałemu i dotkliwie dającym się odczuwać na tutejszych terenach głódowi polskiej książki stara się zapobiec kierownictwo Biblioteki Miejskiej, otwierając przy pomocy prywatnego księgozbioru wypożyczalnie książek w lokalu Biblioteki. Wypożyczalnia ta rozporządza jednak nikłą ilością tomów i jest właściwie tylko czasowym załatwieniem tej sprawy, zdobyć zatem książek polskich dla Słupska jest kwestią aktualną i bardzo pilną.

Irena Skarżyńska.

RECENZJE I SPRAWOZDANIA

Rzecz o Prusach Wschodnich

Stanisław Srokowski, Prusy Wschodnie. Studium geograficzne, gospodarcze i społeczne. Gdańsk — Bydgoszcz — Toruń 1945. Wydano z zaski Biura Ziemi Zachodnich przy Ministerstwie Administracji Publicznej. Wydawnictwa Instytutu Bałtyckiego. Prace naukowo-informacyjne: Seria Pomorze. Str. XII, 321.

Ogólnie znaną cechą instytutów naukowych jest to, że pracują cicho, bez rozgłosu, bez szumnej reklamy. Taką również właściwością odznacza się mało dotychczas znany pomorzakom Instytut Bałtycki w Bydgoszczy z oddziałami: pomorzoznawczym w Toruniu i morskim w Gdańsku (właściwie w Sopocie). W zakresie intensywności ruchu wydawniczego dał się on wyprzedzić Instytutowi Zachodniemu w Poznaniu (który wydał już cztery monografie w serii swych prac), ale ostatnio jesteśmy świadkami prawdziwej ofensywy naukowej na terenie Pomorza. Do ciężkiej i dalekooszczędnej artylerii zaliczyć tutaj należy najnowszą publikację pod wyżej wymienionym tytułem. Autorem jej jest Stanisław Srokowski, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, najlepszy niewątpliwie obecnie znawca całokształtu zagadnień wschodnio-pruskich. Książka powstała w trudnych warunkach wojennych, w ciągu kilku ostatnich miesięcy drugiej wojny światowej. Tym się więc tłumaczy fakt, że obejmuje ona całość byłej prowincji Niemiec, a nie zajmuje się specjalnie zagadnieniami okręgu mazurskiego czyli olsztyńskiego, t. zn. Powiśla, wcielonego do woj. gdańskiego, oraz Warmii i Mazurów, stanowiących nowe polskie województwo.

Praca składa się z czterech części: I „Struktura fizyczna kraju”; II „Ludność”; III „Życie gospodarcze” i IV „Położenie Prus Wschodnich w Europie”.

Każda część rozpada się na szereg rozdziałów, poprzedzonych na wstępie książki spisem treści, stanowiącym właściwie index rzeczowy, ponieważ podaje stronicę, na których czytelnik znajdzie bez trudu w formie podrozdziałów zagadnienia specjalnie go interesujące (w całej książce poruszone są 183 zagadnienia). W ten sposób geograf, geolog, etnograf, prehistoryk, ekonomista, historyk w ogóle i historyk kultury w szczególności mogą czytać książkę i posługiwać się nią w dowolnej kolejności rozdziałów. Ucieszą się zwłaszcza z tego zapewne dziennikarze, notorycznie nie mający czasu na poważne studia.

Do najciekawszych należą rozdziały: „stosunki narodowościowe” (str. 128—153), „kultura” (str. 153—175), „ekspansja polska” (str. 277—293) i „Prusy Wschodnie a pokój Europy” (str. 293—303).

Jako solidna monografia naukowa, książka prof. Srokowskiego zaopatrzona jest nadto w wykaz literatury o Prusach Wschodnich (za wyjątkiem historii), słowniczek nazw geograficznych i skorowidz nazwisk, oraz 25 mapek.

Ukazanie się tej książki należy powitać ze szczerzym zadowoleniem i radością. Szczegółowy artykuł, poświęcony analizie — treści, odkładamy do następnego numeru „Arkony”. Na razie zacytujmy tylko dwa zdania, które zaprezentują pogląd Instytutu Bałtyckiego, wyrażony

w przedmowie: „Potrzeba tej książki w dzisiejszej Polsce jest rzeczywistością palącą, zaś imię autora, znakomitego znawcy zagadnień Prus Wschodnich, stanowi wystarczającą rękojmię poziomu tego wydawnictwa. Wierzmy, że książka prof. St. Srokowskiego stanie się koniecznym składnikiem uzbrojenia intelektualnego ludzi, którzy w Prusach Wschodnich będą pracować”.

Al. Deruga.

Pisma i książki nadane

„Twórczość” Rok II, zeszyt 1.
„Odrodzenie” Rok III, Nr 1 — 8.
„Tygodnik Powszechny” Rok II, Nr 4.
„Wieś” Rok III, Nr 7.
„Przegląd Zachodni” Rok II, Nr 1.
„Meander” Rok I, Nr 1.
„Kamena” Rok VII, Nr 1 — 3.
„Przegląd Wielkopolski” Rok II, Nr 1 — 2.
„Wiatr od Morza” Rok I, Nr 1.
„Cychry” Rok I, Nr 1.
„Iskierki Bydgoskie” Rok II, Nr 3.
„Afisz starego Teatru” Nr 2.
„Pracownik Stolicy” Rok II, Nr 1 — 4.
„Rzeczy Ciekawe” Rok I, Nr 1.
„The Studio” Styczeń 1946.
„Horizon” Nr 74.
„The Sphere” Luty 1946.
„The Times — Literary Supplement” Luty 9, 1946.
„Życie szkoły” Rok I, Nr 1 i 2.
„Jednodniówka” Bratniej Pomocy Stud. Uniwersytetu Mikołaja Kopernika.
Dr St. Burhardt i Józef Mossakowski: — Z prehistorii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu.
Dr Feliks Widy-Wirski: — Polska i Rewolucja.
Józef Widajewicz: — Niemcy wobec Słowian Polabskich.
Władysław Grabski: — Saga o Jarlu Broniszu i Zrękwiny w Uppsali.
Hanna Malewska: — Kamienie wołać będą.
Leon Halban: — Mistyczne podstawy Narodowego Socjalizmu.
Jan Czekanowski: — Podstawy teoretyczne antropologii i ich konsekwencje.
Jan Parandowski: — Literatura a współczesność.
Juliusz Kleiner: — Tragizm.
Wilhelm Szewczyk — Posąg. Wyd. Inst. Śląskiego, Katowice.

KSIĘGARNIA BYDGOSKA

N. GIERYN

BYDGOSZCZ, JAGIELLOŃSKA 2, TELEFON 2225

Poleca w wielkim wyborze

książki z wszelkich dziedzin wiedzy.

Na składzie stale ostatnie nowości.

„NAUKA”

POMORSKA SPÓŁDZIELNIA KSIĘGARSKA I PAPIERNICZA Z ODP. UDZ.
W BYDGOSZCZY

SKLEP NR 1 — ALEJE 1-GO MAJA 5, TELEFON NR 3069

SKLEP NR 2 — JAGIELLOŃSKA 35, TELEFON NR 3382

POLECA: Podręczniki szkolne, książki naukowe, powieści, książki handlowe, księgowość przebitkową „Perfecta”, artykuły piśmienne.

Wydawca: Zespół „Arkony” w Bydgoszczy — Kolegium redakcyjne: Stanisław Bręczkowski, Aleksander Dzienisiek, Alfred Kowalkowski, Jan Piechocki, Jerzy Remer, Marian Turwid. Adres Redakcji i Administracji: Bydgoszcz, Sielanka 8. Konto bankowe: Komunalna Kasa Oszczędności miasta Bydgoszczy nr 224.

Prenumerata i kolportaż: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Delegatura Pomorska w Bydgoszczy, ulica Jagiellońska 31. Cena numeru 10,— zł

Drukarnia Polska pod Zarządem Państwowym Nr 1, Bydgoszcz, Jagiellońska 19. — F 11902